

CZARNA PEREŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWITĘ.

(CIĄG DALSZY)

Lenora szukała w sobie sił i odwagi, by coś postanowić...

— Mój ojcze — rzekła wreszcie wstając z ławy — jakkolwiek przeniesienie dalsze chorego byłoby nie możliwe, zdaje mi się, że o kilkanaście kroków do chaty bez niebezpieczeństwa wziąćbyśmy go mogli. W ten sposób uwolnilibyśmy ojca od tego zajazdu i odwiedzin natrętnych... Ja winnam zbyt wiele panu Zbigniewowi, bym go opuścić mogła... zostanę przy nim, ucząc się być siostrą miłosierdzia... Zacny hrabia Sandor nie odmówi mi, z listem moim pojechać do Warszawy...

— Pojechać do Warszawy? — spytał Węgier — jakaż potrzeba tej podróży?

Lenora zarumieniła się...

— Potrzebuję dać wiedzieć o sobie moim przyjaciołom.. a może wy, szlachetny hrabio, skłonicie doktora S..., by tu do mnie przybyć raczył... Nareszcie... Umilkła wstydząc się dokończyć.

— Nie wątp pani, że pojadę, dokąd rozkażesz... ale jestże potrzeba tego istotna? List zrobi to co ja... a stracisz pani stróża, który ci być może potrzebnym. — Uśmiechnął się.

— Jeźli zaś — dodał — bytność moja jest dla niej niewygodną, zbyteczną... uciążliwą... wrócę do Węgier...

Spojrzał na nią błagającemi oczyma, w których było tyle żalu, prośby i wymówki, iż Lenora się zarumieniła i podała mu rękę...

— Nie gniewaj się pan na mnie... Zrobisz, co sam uznasz właściwem, ufam panu. Najpierwszą jednak rzeczą jest, byśmy księdza proboszcza uwolnili od załogi... i postarali się o pomieszczenie dla mego obrońcy...

Proboszcz w istocie sam nie wiedział, co odpowiedzieć; do swego pacyenta wielce się przywiązał, a tolerować nie mógł przy nim panny, która nie była ani siostrą, ani krewną, i w dodatku miała jeszcze z sobą towarzysza nie wylegitymowanego, a widocznie i desperacko zakochanego, co mu aż nadto z oczu patrzało. Wybierając z dwojga wolał już ksiądz zrzec się opieki nad chorym, niż to towarzystwo, przypominające mu w młodości czytanego Idziego Blasa z Santylany, przyjmować dobrodusznie na probostwie. Milcząco więc przyjął przemówienie Lenory, skłonił się i nic nie powiedziawszy znikł.

Lenora pożegnawszy chwilowo Zbigniewa sama pobiegła szukać dlań chaty wygodnej... a Sandor czuł się w obowiązku jej towarzyszyć...

Poczta z tego zakątka odchodziła raz w tydzień tylko, był więc czas przygotować listy do Warszawy do doktora z opowiedzeniem całej przygody i zaklęciem najsilniejszem, aby z powagą swego wieku i powołania na ratunek przyjeżdżał.

Z tego wszystkiego, co się działo, hrabia Palmy powoli przychodził do coraz mocniejszego przekonania, iż Lenora była w istocie tą istotą, jaką mu się w pierwszej

chwili przedstawiła. Jej los, położenie, urok twarzy, umysłu, serca, codzień czyniły na nim potężniejsze wrażenie. Nie wiedział jeszcze, jak wyjdzie z przygody, ale wcale nie pragnął, ażeby się skończyła... nie chciał się rozstać z powieścią fantastyczną, którą rozpoczął jako młody szaleniec, a kończył niemal jak poeta...

Zbigniewa na noszach powoli przy dozorze Lenory przeniesiono do przygotowanej chaty, Sandor ofiarował się czuwać przy nim. Drugą obok zajęła dla siebie Zara... Chirurg zamówiony codzień miał dla opatrywania ran przyjeżdżać. Nie zbywało też na dozorze czułym, bo Lenora nie wahała się z odwagą czystego serca całe niemal dnie przy chorym w towarzystwie nieodstępnego Sandora przepędzać.

Tu dopiero mógł się Sandor przekonać, że ta, której ukształcenie zdawało mu się może zrazu błyskotliwym pozorem, była w istocie jedną z tych rzadkich, wybranych niewiast, stworzonych na udręczenie człowieka, bo po nich inne wszystkie wydają się ułomnemi i niedołężnemi. Każdego dnia odkrywał w niej nowy promień, nową jasność, talent nowy lub cnotę.

Wszystko to wytryskało tak z samej natury jej, tak było nacechowane prawdą, że gdy najczęściej przedłużone obcowanie z innemi rozczarowuje i ostudza, bo odkrywa, co było pożyczanem i fałszywem, tu każdy dzień uwielbienie powiększał. Z boleścią wyznać przed sobą musiał wychowaniec Wiednia i Paryża, że ani nauką, ani pracą nie dościgał jej... i często za nią dolecieć na wyżyny nie zdołał.

W dzień niedzielny przy nieszporach, choć z wielkim wstrętem i obawą księdza plebana, Lenora wprosiła się na chór do organu, który jakiemś szczęściem mimo skromnych rozmiarów jeszcze był strojny...

Jakież było podziwienie i księdza i organisty i słuchaczów, gdy z tego umęczonego instrumentu, który pod ręką niewprawną swego władcy wydawał niesforne akordy, popłynęła rzeka tonów czystych, harmonijnych, słodyczy pełnych i związanych tak umiejętnie, iż się zdawały splecionym wieńcem anielskich pieśni. Proboszcz nie miał tej muzyce nic do zarzucenia, prócz że pochłaniała ustną modlitwę, zjadała myśl i zmieniała ją w uczucie, pod tą postacią eteryczną niosąc ją przed tron Boży...

Sandor wyszedł z tych nieszporów zadumany, poruszony, przejęty. Muzyka, która zwykle to mówi do człowieka, o co on ją pyta, odpowiedziała mu, że nie był godnym tej, z pod której rąk płynęła. Organista upokorzony wielce utrzymywał sam jeden, że to nie była kanoniczna i orthodoxyjna muzyka, ale świeckie madrygały, które panu Bogu wstrętne być musiały.

Tak upływały dnie w chacie góralskiej, przeistoczonej na gospodę. Nawet podejrzliwy proboszcz bliżej się przypatrzywszy Lenorze, pomówiwszy z nią, poczynał uprzedzeń się swych pozbywać; chociaż mu Węgier ów i przyjaciel w jej towarzystwie zawsze byli nie do smaku. Jednego przynajmniej z nich rad był z nią ożenić, aby mieć głowę spokojną. Przed ludźmi nawet mówił, że to byli blizcy krewni, obawiając się zgorszenia w poczciwej swej gromadce.

Sandor jednego z ludzi swych wysłał tymczasem na Węgry po rozmaite dla wygody potrzebne przedmioty, których w okolicy dostać nie było można. Przywieziono całe dwa wozy dywanów, krzeseł, książek, kuchennych przyborów i zapasów, tak że owa chata zmieniła się w bardzo wygodne i ładne schronienie. Zbigniewowi jednak cała ta około niego troskliwość zdawała się nie iść ni na korzyść ni na zdrowie. Smutny był, milczący, i stan jego zamiast się polepszać, niemal pogorszać się zaczął. Najtkliwsze starania nic nie pomagały. Serce cierpiało, a boleść jego wstrzymała to dzieło uzdrowienia, które tak szczęśliwie zdawało się poczętem. Po całych dniach sparty na rękach, słuchał z pewnym wyrazem tęsknoty i trwożliwości rozmów, opowiadań, drobnych sporów pomiędzy Sandorem a Lenorą, i nie mieszał się do niczego. Był przekonanym coraz bardziej, że Węgier kochał się w niej i że być musiał kochanym. Chociaż nigdy nie miał nadziei, a przynajmniej nie przyznawał się do niej, nie mógł zwyciężyć smutku, jaki to w nim zrodziło.

Wśród tego dziwnego życia... jednego ranka nadbiegła poczta i z wózka wysiadł doktor. Porzucił on swych chorych, życie do którego był nawykł, i spieszył na zawołanie Lenory. Zobaczywszy go przez okno chaty, wybiegła naprzeciw niemu właśnie w chwili, gdy warkocz czarnych włosów nie spleciony jeszcze miała zgarnąć, cała oblana temi kruczemi włosami, zarumieniona od radości, witając go jak zbawcę i ciągnąc do siebie.

Poczciwy przyjaciel uśmiechał się milczący i usiłował przybrać ton żartobliwy, aby rozrzewnienia, którego doznał, nie okazać.

— Niech się panna Lenora kończy ubierać, a mnie naprzód wykomenderuje do chorego... Po to ja tu jestem, abym się na coś przydał. Kto wie, jak go mój kolega tutejszy leczył.

Lenora wskazała mu ręką na chatę, przed którą stał Sandor wpatrzony w jej krucze warkocze i kibić dziewiczą... Węgier domyślił się doktora, o którym się wiele nasłuchał, i sam mu się przedstawił.

— Chodź pan — rzekł — chory jest tutaj, wszyscyśmy czekali z upragnieniem jego przybycia...

Zbigniew o kuli dowlókł się do drzwi... ale spojrzenie nań nie pocieszyło gościa. Był to cień człowieka, w którym dogorywała młodość, niekiedy błyskając rumieńcem przedśmiertnym, to znów przygasając na dnie całe. Doktorowi dość było rzutu oka wprawnego, ażeby dostrzedz, że uzdrowienia nadzieja była mała lub żadna. Potłuczone piersi, pogru-

chotane kości, wstrząśnienie ogólne, może niema rozpacz jakaś dobijały Zbigniewa. Uśmiechnął się, podnosząc niebieskie oczy ku doktorowi, podał mu rękę wychudłą i ze spalonych warg ledwie mógł słaby głos wydobyć.

Po kilku wymienionych słowach doktor wziął się do opatrywania chorego; nie powiedział nic, ale znalazł go gorzej, niżby był być powinien.

— Panie Zbigniewie — rzekł — mógł byś być zdrów, gdybyś chciał.

— Jakto, konsyliarzu?

— Musisz się czem gryźć, musisz sobie czemś szkodzić; młodość już cię była powinna uleczyć... a ty mi chérlasz... jeszcze... Będę gdérał...

— Czy mógłbym przejechać do Warszawy?

Doktor głową potrząsł... Poczekawszy—rzekł — nie teraz...

W chwilę potem nadbiegła Lenora... Weszła, bo miała to przekonanie, że doktor był wszechmocnym; osmutniała jego twarz nic jej pocieszającego nie powiedziała. Wyszli z nim razem na ganek.

— Jak pan znajdujesz Zbigniewa? — spytała.

— Nie dobrze — odparł doktor — ranyby go same nie zabiły, ale jest coś, co im pomaga. Chłopiec się zagryzać musi, zazdrosny może... o Węgra... Nie wiem, czym zgadł, ale tak mi się to przedstawiło w pierwszej chwili, a ja wierzę w pierwsze wrażenie.

— Nie może być zazdrosny — odpowiedziała Lenora — bo tego uczucia, które zazdrość rodzi, nie było w nim... Starałam się o to, aby go nie obudzić, i ufam, że Zbigniew miał tylko dla mnie trochę wdzięczności i szacunku.

— A ja sądzę, że się oddawna kochał szalenie — przerwał doktor. — Bądź co bądź, trzeba na to coś radzić, bo chłopak jest bardzo źle, a szkodaby go było.

— Drogi przyjacielu! — zawołała Lenora — zrób co jest w mocy ludzkiej... jabym go nie przeżyła!

Stary spojrzał na nią: była spokojną i twarz jej nie oblokła się nawet rumieńcem.

— Tak, kochany doktorze — dodała Lenora — z tego uczucia macierzyńskiego, siostrzynego, jakie mam dla niego, ani przed tobą, ani sama przed sobą wytłumaczyć się nie potrafię... Kocham go jak brata, stworzyłam sobie w nim rodzinę, której mi brakło... On mi poświęcił życie... jeźli jest ratunek jaki...

— Jeden tylko — zawołał uśmiechając się doktor — jeden.

— Jaki?...

Stary się zawahał.

— Niech mu się szczęście uśmiechnie... któż wie, może go to ocalić.

Lenorze łza zakręciła się w oku.

— Jesteś moim przyjacielem — rzekła — nie mam dla ciebie nic skrytego... chodź, oddalmy się, odsłonię ci serce moje. Omyliłeś się, jeźliś sądził, że go kocham... To nie jest uczucie, któreby miłością nazwać się mogło. Nie; Zbigniewa nawykłam prawie uważać za dziecię moje. Między nim a mną był stosunek, z którego nigdy czulsze się nie rodzi uczucie... Pamiętam go nieokrzesanem, biednem chłopięciem... czuję się silniejszą nadeń... a tam gdzie niewiasta jest panią, niema dla niej i nie może być szczęścia. Nie wiem, czyś mnie zrozumiał.

— Najzupełniej — odpowiedział doktor — a mimo to powtarzam, jeźli chcesz życie jego ocalić, daj mu nadzieję szczęścia.

— Doktorze, to znaczy: skłam! — zawołała Lenora — to znaczy: powiedz, że kochasz, gdy serce twe chłodne... ja tego uczynić nie mogę.

Gość zamilkł.—Stanie się więc co Bóg naznaczy — rzekł po chwili — nie mówmy o tem.

— Uważam cię za ojca — dodała Lenora — nie wymagaj spowiedzi, bo z uczuć spowiedź według mnie jest świętokradztwem; uczucia winny się kryć w poświęconej arce, w głębi przybytku... Powiem ci tylko słowo... kocham innego...

To mówiąc oddaliła się spiesznie ku chatce swojej, a doktor wszedł nazad do pacyenta, który w oknie siedział milczący, osłupiały, z oczyma na góry sine skierowanemi bezmyślnie.

— Wiesz — począł z cicha do niego — że mi cię szczerze żal... Nawykłem patrzeć na cierpienie, na śmierć, na bole... ale gdy w sile wieku młody daje się śmierci nie broniąc, złożywszy broń, bez ochoty do życia... jak ty... panie Zbigniewie, a w dodatku w takiej chwili, gdy dla dziecięcia Polski życie powinno mieć powab niezmierny... w przededniu może walki heroicznej... dziwi mnie to, smuci. Miałożby teraźniejsze pokolenie tak zniewieścieć, żeby go ani trąba bojowa, ani pieśń zmartwychpowstania, ani blaski nadziei, ani powołanie do trudu... już nie poruszało?

Zbigniew głowę odwrócił; rumieniec poczynał się rozlewać po bladej twarzy.

— Dać ci lekarstwo — mówił doktor — na co się to zda, kiedy ja czuję, że ty zobojętniały, zastygły... chcesz umierać.

— Ja? doktorze...

— Ale tak jest! — mówił stary — chcesz umierać z niedorzecznej fantazyi, gdy mógłbyś umrzeć chwalebnie i pożytecznie, jeżeli już koniecznie tak pragniesz skończyć. Tu w tym kątku u podnóża gór nic nie słychać, ale po całym kraju polskim rozchodzi się drzenie, jakby przebudzenie po długim śnie zwiastujące... A! gdybym był młodym...

Zbigniew westchnął...

— Proszę kochanego konsyliarza — zawołał silniejszym nieco głosem — dla czegoż mnie obwiniasz... gdy choroba moja jest skutkiem... przypadku?

*

— Tak, ale kuracyi tego nieszczęsnego wypadku lepiej od lekarza mógłbyś dopomódz, gdybyś chciał żyć!

— Ale cóż doktorowi dało tę myśl, że ja żyć nie chcę!

— Ta myśl wyryta jest na twojem czole — rzekł lekarz — nie możesz jej ukryć przedemną... Smuci mnie ona szczególniej dla tego, że przypadła w chwili, gdy młode ręce mogą być tak potrzebne i drogie, jak młode serca.

Doktor widocznie zamiast lekarstwa używał patryotyzmu jako podbudzającego środka, i wiedział on dobrze, iż w duszy polskiego dziecięcia, gdy już nic jej rozgrzać nie potrafi, miłość ojczyzny dokazuje cudów. Mówił dalej:

— Nie chcę dobadywać się przyczyn, które tę apatyą w tobie zrodziły, panie Zbigniewie, chociaż mnie, staremu doktorowi wolnoby było odgadnąć je, odsłonić i po ojcowsku za nie połajać.

Zbigniew się żywo poruszył... czuł się odgadniętym, wstyd mu było...

— Toż samo, co cię popchnęło w pogoń za panną Lenorą, co było przyczyną tych ran i wypadku, dzisiaj zrodziło zwątpienie i zobojętnienie dla życia. Pozwól sobie powiedzieć, że pojmując miłość młodzieńczą, choć doktorem jestem, nigdy jej tak prozaicznie nie wyobrażałem sobie, ażeby pragnęła koniecznie być zaspokojoną brutalnie lub skazywała się na śmierć. Miłość, jak ja ją stary rozumiem, choćby była bez nadziei, winna do życia budzić, a nie zniechęcać od niego. Nie jestże szczęściem widzieć istotę ukochaną, służyć jej z zaparciem się, i zdala po cichu uwielbiać? Może to pojęcia mojego wieku... ale uczciwą miłość, w której nie ma egoizmu, taką sobie przedstawiam.

Zbigniew coraz bardziej był pomieszany.

— Szanowny konsyliarzu, budujesz przypuszczenia, do których ja, nie rozumiem prawdziwie, jak mogłem dać powód? czem?

— Doktor musi być jasnowidzącym...

— I może się omylić.

— Może, to prawda! Zobaczymy więc jutro, pozajutro, czy kochasz ojczyznę więcej niż siebie, a pannę Lenorę tak, jak powinieneś ją kochać... czystem sercem wdzięcznego wychowańca. Zresztą—dorzucił doktor wstając—kto ma życie, ma wszystko. Dzieją się cuda... spodziewać się można zawsze... póki w piersi tchnienie... póki w sercu bicie.

Na tem przerwaną została rozmowa... a że doktor po raz pierwszy oglądał podtatrzańską okolicę, wyszedł przypatrywać się łańcuchowi gór i studyować florę i fizyognomią kraju dla siebie nowego.

Nadto miał wszakże na myśli i sercu, ażeby z wielką uwagą badaniom się tym oddał; los Zbigniewa i ostatnie słowa Lenory zajmowały go najmocniej. To — kocham innego!—tkwiło mu w umyśle nierozwiązane dlań i niezrozumiałe. Byłże ktoś zupełnie nieznany, czy wreszcie ów wdzięczny i zręczny magnat węgierski, czy Lord, o którego zajęciu się Lenorą w całej mówiono Warszawie. Odgadnąć było trudno, pytać niegrzecznie... a stary wszakże był ciekawym człowieka, który to serce mógł pozyskać.

Dumał tak chodząc po trawniku i przypatrując się uroczemu obrazowi łańcucha gór w oddaleniu, gdy Lenora wyszła z chaty, ubraná całkiem czarno, tak jak wówczas chodzili wszyscy, z wyrazem twarzy poważnym ale spokojnym. Zbliżyła się do herboryzującego, dotknęła jego ramienia i powitała go usmiechem.

— Prawda — rzekła — że te Alpy nasze cudnie są piękne w swym majestacie grozy i milczenia, z mieniącem się licem, po którem przechodzą rumieńce i śmiertelna bladość. Gdybyś je mógł widzieć jak ja... w tajemniczych ich wnętrzach... jakżebyś ukochał tę naturę górską, ten skamieniały dramat, ten świat cudów smutnych... w których kontemplacyi dusza się oczyszcza i podnosi. Widziane zdala te góry mogą zachwycić, poznane zblizka muszą obudzić miłość. Gdybyś poszedł do Strażysk, na Kościelisko, do Morskiego Oka, wdrapał się na szczyty, okiem przemierzył przepaście, duszaby ci się otwarła nowym zmysłem straconym, miłości natury... W mieście ten zmysł się traci.

— A raz stracony się nie odzyskuje — dodał doktor — dla mnie jeszcze miłość nauki byłaby przeszkodą do pochwycenia strony poetycznej Karpat... widziałbym w ich studyum do analizy nie obraz... Z twoją młodą duszą...

— Młodą! — przerwała smutnie Lenora — nie jest już ona młodą... cierpienie marszczki na niej wyryło... przekwitła młodość na zawsze... a kielich życia zamknięty...

— Dla ciebie? — zawołał doktor — dla ciebie?

— Tak dla mnie — odparła Zara — nie łudzę się wcale. To co pismo powiada, że dzieci noszą na sobie grzechy ojców, jest prawdą, jak wszystko, co ono głosi. Grzechów tych żadna nie zetrze pokuta... Jestem cyganką, jestem córką włóczęgi, w którym niedola zatarła szlachetniejsze instynkta, i powinnam pokutować za winy pokoleń mi nieznanych... Fatalizm...

— Nie — oparł się doktor — wiek nasz starł te piętna średniowieczne z wyklętych rodów.

— W teoryi, ale w życiu są niezmazane... Dla tego — dodała Lenora — postanowienie moje niezmienne, usunąć się od czynnego w życiu udziału, wstać co najprędzej od biesiady żywota i... zniknąć...

— A miłość, o której wspomniałaś mi? — szepnął poufnie doktor.

Lenora się zarumieniła.

— Ona pójdzie ze mną! — szepnęła cicho — ale ani ten co ją natchnął, ani nikt w świecie wiedzieć o niej nie będzie. Nie chcę nikomu przynieść do domu hańby mego pochodzenia, wstydu za krew moję, przekleństw, co ciężą nad tajemniczym ludem mych braci.

— Cicho! cicho! — przerwał stary — to są młode marzenia... o których ja mówić nie pozwalam.

Zbigniewowi dałem dobrą naukę, która mu pewnie posłuży... albo... albo już nic go wskrzesić nie potrafi. To się da widzieć wkrótce... Ja sądzę, że odżyje...

Teraz chodźmy do niego i bądźmy na upartego weseli... z musu. Nakazuję to jako receptę...

Pani Laura która się ubierała przed źwierciadłem z tem staraniem, jakie niepiękne i niemłode panie poświęcają naprawie tego, co nieubłagany czas codzień psuje i niszczy, oddaną była właśnie misternemu ułożeniu włosów tak, aby zmarszczki czoła i otoczenia oczów nieco pozakrywały, gdy służąca położyła list przed nią. List był wcale nie pożądany, bo odrywał od zajęcia, które z pewną logiką się odbywało, którego przerywać się nie godziło; spojrzała nań okiem niechętnem Laura, bo niestety, co do ciekawości była córką Ewy nieodrodną, a spojrzawszy krzyknęła i porwała się zapominając o włosach i o marszczkach...

— Stefciu! Stefciu! — zawołała rozrywając kopertę i chciwemi połykając oczyma maleńki bilecik — Stefciu, wszak to nasza Lenora, heroina, powróciła... Doktór ją przywiózł! Dziś jeszcze będziemy ją widziały... Nie, ja nie wytrzymam... ubiorę się na prędce... ubieraj się ty co żywo.. pójdziemy do niej. Już z listów doktora wiem, że ta kochana moja... przebyła niesłychane przygody... jedzie podobno za nią magnat węgierski... a tu mój Lord wzdycha i chudnie codzień się dopytując... Słowem... że awântury... tysiąc nocy...

— Stefcia! ja już jestem gotowa! Gdzie mój szal? szukaj rękawiczek! Skaranie Boże, iż zawsze wszystkiego szukać potrzeba... życie upływa na gubieniu i mozolnem znajdowaniu... Flakonik? zobacz gdzie flakonik... parasolik? patrzcie! nie ma już i parasolika...

Tak latając, krzątając się, gdérząc, śmiejąc się, pani Laura ledwie poprawiwszy coś około twarzy już biegła na schody, nie patrząc, czy Stefcia idzie za nią... śmiała się sama do siebie... spiewała, a wyszedłszy na trotuar, rozpoczęła wojnę z przechodniami, którzy posądzić mogli, widząc ją tak lecącą spiesznie, iż się gdzieś palić musi.

Paliło się istotnie w głowie pani Laury nieustannie... i wiek nawet ognia tego przygasić w niej nie mógł. W pałacu Zamojskich, do którego dążyła, od wczorajszego dnia wszystko było w nadzwyczajnym ruchu. Kasia biegała rozpromieniona... Pan Zygmunt Haraburda cieszył się z powrotu ideału, a nawet Roman Junosza przeglądał się w źwierciedle na intencyą pięknej panny. Od razu brzmiał Erard pod palcami spragnionej muzyki wygnanki, której z oczów lały się strumieniem łzy, pamięci dni szczęśliwszych poświęcone. Każda z tych melodyi przywodziła jej wspomnienie jakiejś chwili, jakiegoś uczucia, straconej nadziei, przeżytego złudzenia...

Niech wam będzie na szczęście ludzie kamienni, co nie miłujecie pieśni, śmiejecie się z poezyi, wyszydzacie uczucie i wierzycie w rozum tylko; nikt z tych, co cierpią sercem, na waszę prozę się nie pomienia. A jeźli świat ma się przerobić wedle waszej formy i programu, błogo nam będzie umierać, abyśmy go nie widzieli.

Drzwi się otwarły z trzaskiem, pani Laura wleciała, wpadła... rzuciła się w objęcia przyjaciółki, a tyle na raz chciała powiedzieć, że się zakrztusiła uczuć i wyrazów natłokiem.

— Siadaj! — zawołała prowadząc Lenorę do kanapy — podnieś tę śliczną główkę, niech ci się przypatrzę, niech zobaczę, co z ciebie zrobiła ta romantyczna włóczęga.

A! strasznieś się opaliła! — dodała po chwili.

— A! jak cyganka!—śmiejąc się z rezygnacyą przerwała Lenora—to było w naturze moich przeznaczeń. Jak tylko znalazłam się w mym żywiole, na powietrzu... musiałam odzyskać mego rodu cerę...

— Ale ci z tem ładnie, oryginalnie — rzekła Laura, poprawiając się — to nic nie szkodzi... A! napędziłaś nam też strachu tą eskapadą, heroino ty moja!—Pocałowała ją w czoło.—A co się za tobą Lord natęsknił, jak mnie nudził pytaniami...

Lenora mocno się zarumieniła.

— Przychodził do mnie dlatego tylko, że mu salon mój przypominał wieczorne wasze rozmowy... sam mi się do tego przyznał. Oczarowałaś go... Zmartwi się, gdy usłyszy, że z sobą przywiozłaś, a raczej za wozem okutego przywlokłaś niewolnika... jakiegoś z Węgier magnata...

Lenora się uśmiechnęła.

— To mój wybawiciel.

— I zakochany szalenie? — cicho spytała Laura.

— I roztrzepany niezmiernie — odpowiedziała Zara. — Bawi go to... ale nie spodziewam się, ażeby w życiu co brał na seryo... Dobry chłopak...

— Mówią, że ładny...

— I ładny chłopak... i miło wychowany... ale nic więcej.

— Rozumiem, nie kochasz go! No, a tenże ślamazarny trochę wychowaniec, co się dał zabić dla asindzki... żyje?

— Żyje! przywieźliśmy biednego do Warszawy, dzięki staraniom doktora zdaje się, że ocalenie jego zapewnione.

— Wszystko więc jak najszczęśliwiej się składa— przerwała Laura — dodam dla twej wiadomości, że hrabina Pyza i szanowny jej synalek, napsuwszy sobie krwi, pojechali do wód ją naprawiać. W ostatnich czasach tak się im nie wiodło, że niewdzięczną opuścić musieli ojczyznę. Byli przedmiotem niemal powszechnej pogardy.

Panie obie zamilkły... ale Laura umiała cenić czas i pamiętała na krótkość ludzkiego życia, nie mogła więc długiego ścierpieć milczenia.

— Lord już dziś wiedzieć będzie o twoim powrocie... nie darowałby mi, gdybym cię nie uprosiła na wieczór. Musisz przyjść na herbatę...

— Daruj mi, droga pani — ściskając ją, szepnęła Lenora — to być nie może. Cenię twe serce dla mnie, gotową jestem na rozkazy, ale nie będę u mej pani, chyba gdy nikogo tam nie zastanę, gdy same pozostać będziemy mogły... Ze światem zerwałam na zawsze...

— No? a Lord? — szepnęła Laura.

— Lord? ale czemże ja dla niego jestem, a on dla mnie? Dobrymi znajomymi, których się mile wspomina...

— On się szalenie kocha...

— We mnie! w cygance! w córce włóczęgi?—potrząsła głową — a! nie, droga pani, to być nie może! Ta miłość byłaby obelgą dla mnie, bo wieczną i uprawnioną być nie może, a z mej strony ja jej ustępstw nie uczynię... Kochanką niczyją być nie chcę, niczyją żoną nie mogę, zostanę sama...

Laura popatrzała na nią i znalazła ją cudnie piękną w tym zapale i ożywieniu, z czarnemi oczyma ognistemi i różowemi wargi pół otwartemi, z pod których perłowe prawdziwie cygańskie świeciły ząbki.

— Sama! dziecko moje! — westchnęła Laura — tak mówi zuchwała młodość czując w sobie siły do życia... ale przejdą lata... ostygniesz... zmienisz przekonania i przebłagać się dasz kiedyś... Niestety! patrz, aby to nie było za poźno...

— Ja się nie zmienię... bo mój los zmienić się nie może — szepnęła Lenora — nie mówmy o rzeczach smutnych...

Laura korzystając z wyrażonego życzenia poczęła się trzpiotać, paplać, śmiać, opowiadać i tak przedłużyła rozmowę do ostateczności, bo gdy spojrzała na zegarek, była już godzina obiadowa. Wybiegła więc, biorąc dla pospiechu dorożkę do domu, bo spalony i zepsuty obiad był dla niej wielką klęską... jedzenie i paplanie tylko ją już na świecie utrzymywało. (Dok. n.)

DO POETY Z...... K..........

(Z PISM POŚMIERTNYCH JULIUSZA SŁOWACKIEGO.)

Żegnaj, o żegnaj archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął na własne łono,
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę,
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.

Więc gdzieś wysoko u boskiego celu
Chwała dla Ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój, dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba spokojności...
Lecz jeźli ducha nadchodzą szyderce,
Lecz jeźli walka jest — dałeś mi serce.

Florencya 4. grudnia 1838 r.

ZAKŁADY ZDROJOWO-KĄPIELNE W GALICYI.

VII.

LUBIEŃ.

O trzy mile od Lwowa na gościńcu grodecko-samborskim, w dolinie małej rzeki Wereszycy, znajduje się obszerna wieś Lubień, własność Wg. Konstantego br. Brunickiego, a w niej znakomite źródło siarczane, z odpowiednim zakładem zdrojowo-kąpielnym, prawie od stu lat już używane.

Szeroka płaszczyzna rozległej tutejszej krainy, okolica urozmaicona obszernymi stawami, przedstawia oku kraj płaski, urodzajną glebę, a w lasy nieskąpą. Szczęśliwe położenie Lubienia, tak blisko stołecznego grodu i innych miast, jak: Sambora, Gródka, Komarna; tudzież pomniejszych jak: Pożycze, Czerlany itd., niemal złączonego z siecią kolei europejskich, bo zaledwo o milę od kolei żelaznej galicyjskiej oddalonego, tudzież wyborne gościńce, nadają zakładowi kąpielnemu w Lubieniu niemałą wyższość nad wielu innemi krajowemi zdrojowiskami i zapewniają mu niepospolite korzyści.

Lubień posiada nader silne źródło siarczane, którego obfitość wody i skład jej chemiczny prawdziwie podziw i zdumienie wzbudza w oczach myślącego. Jestto bowiem najsilniejszy zdrój z dotychczas poznanych źródeł siarczanych zimnych, a przytem bardzo obfity. Galicya przeto dumną być może, iż posiada zdrój, jakiegoby jej inne kraje pozazdrościć mogły!

Poznajmyż bliżej ten drogi skarb dla cierpiących, to najsilniejsze ojczyste źródło siarczane.

Zdrój lubieński ujęty w drewniane ocembrowanie, 7 stóp średnicy mające, przedstawia głębokość wody w czaszy zdrojowej $1\frac{1}{2}$ stopy. Ogromne rozmiary ocembrowania nadają temu zbiornikowi wejrzenie małego stawku, z którego środka wydobywa się ze znaczną siłą kłębami woda siarczana, dostarczając tak wielkiej jej ilości, iż według Torosiewicza, w r. 1827 tenże zdrój badającego, obfitość jego obliczono do 21.000 garncy na godzinę, a jakkolwiek poźniejsze badania profesora Czyrniańskiego, w roku 1859 przedsięwzięte, zredukowały cyfrę garncy na litry, zawsze jednak zdrój mineralny lubieński jest najobfitszy ze wszystkich źródeł lekarskich krajowych; a ta ogromna jego ilość zdolną jest zaspokoić największe nawet potrzeby gości kąpielnych, gdyż przeszło 100 kąpieli co godzina tutaj najwygodniej udzielić można.

Woda lubieńska w czaszy zdrojowej zupełnie jest czystą; przy dłuższem jednak zetknięciu z powietrzem atmosferycznem pokrywa się białawą powłoką (wydzielona siarka), która zdjęta z powierzchni wody po kilku dniach znowu powstaje, a w miarę czasu coraz bardziej się zwiększa.

Dno czaszy zdrojowej, powleczone grubą warstwą miałkiego piasku i naleciałych istot organicznych, mianowicie liści, powlekają osady wydzielonej siarki i innych części składowych, w tejże wodzie będących, na samym zaś wierzchu tego osadu znajduje się cieniuchna warstewka barwy buraczkowej (wymoczki), która nadaje zdrojowi lubieńskiemu nadzwyczaj zajmujące i wspaniałe wejrzenie karminowej barwy, (osobliwie gdy promienie słoneczne wskróś wodę przenikają), jakiem mało które źródło poszczycić się może.

Woda lubieńska posiada stałą temperaturę +8.2°R., smak jej słono-gorzkawy, a następnie nieco ściągający, niemiły; zapach przenikliwy, silny, hepatyczny (gazu siarkowodowego), wszystkim wodom siarczanym właściwy, wszakże o wiele od jej podobnych mocniejszy. Przy nastąpić mającej niepogodzie już o pół mili roznosi woń swoję woda mineralna lubieńska, a silniej uderzająca i bardziej przenikliwa woń hepatyczna tutejszego zdroju jest miejscowym prognostykiem słoty lub pogody.

Oprócz rozbioru chemicznego wody lubieńskiej, dokonanego jeszcze w roku 1827 przez nieocenionych dotąd zasług na polu balneografii krajowej Teodora Torosiewicza, posiadamy analizę tejże wody, uskutecznioną przez prof. Czyrniańskiego w r. 1859. Oba powyżej wymienieni analitycy wykryli te same części składowe w wodzie lubieńskiej, między któremi za najważniejsze poczytać należy: gaz wodosiarkowy, siarkany i węglany alkaliczne i ziemne. Tymto pierwiastkom przypisać należy jej działalność i skuteczność w rozmaitych chorobach prawie od stu lat utrwaloną.

Cechą wyróżniającą wodę lubieńską od innych jej podobnych jest nietylko naszym krajowym siarczanym zdrojom odrębna właściwość co do znacznej ilości żelaza i manganezu, ale nadewszystko woda lubieńska zawiera w sobie selen w postaci kwasu selenowodowego, nadający jej ostrzejszą woń, aniżeli ją posiadają inne zdroje siarczane.

Dla pozyskania dowodu, o ile woda siarczana lubieńska silniejszą jest od jej powinowatych wód mineralnych, porównajmy ją z zagranicznemi, a przekonamy się, iż zdrojowi lubieńskiemu palmę pierwszeństwa przyznać należy. Jakoż w jednym funcie (norymbergskim) wody lubieńskiej znajduje się gazu wodosiarkowego 30.3 centymetrów sześć. czyli 1·66 cali sześć. wied., gdy silne zdroje siarczane jak:

akwizgrańskie mają tego pierwiastku tylko				0·13
Kreutz posiada	„	„	„	0·43
Baden (pod Wiedniem)		„	„	0·7
sam potężny Tręczyn		„	„	1·64

Z powyższego zestawienia łatwo pojmiemy, iż woda lubieńska pod względem tego najważniejszego w niej składnika o wiele tamte przewyższa.

Gdybyśmy chcieli powziąć wyobrażenie o bogactwie części mineralnych w wodzie lubieńskiej zawartych, dosyć będzie rzucić okiem na porównawcze tablice wody lubieńskiej z 27 innymi zdrojami siarczanymi, jakie pracowicie dr. Chądzyński w swem dziełku: *„O zdroju siarczanym w Lubieniu — Lwów 1866“* zestawił.

Ale na co zbyt długo dowodzić wyższości składu chemicznego wody lubieńskiej nad inne powinowate jej wody, na co podnosić sprawę, aż nadto między fachowymi znaną, a stwierdzoną niemal stuletnią skutecznością i tą tradycyjną wiarą, jakiej Lubień od swoich i postronnych od wieku doznaje?

Łatwo zrozumieć, iż tak potężny i tak obfity zdrój siarczany musiał zwrócić na siebie uwagę myślących lekarzy; tem więcej, iż źródła siarczane, od niepamiętnych czasów w medycynie na kąpiele używane, nieskąpo w naszej ojczyźnie rozsiane, najpierwej ze wszystkich innych przez krajowych lekarzy zbadane i opisane zostały; czego dowodem pomnikowe dzieło polskiego lekarza Wojciecha Oczka wydane w Krakowie w r. 1578 pod napisem *„Cieplice“*, a tem więcej wyłącznie zdrojom siarczanym poświęcona praca naszego rodaka dr. Erazma Syxta: *„O Cieplicach we Skle pode Lwowem“*, już w r. 1617 drukiem ogłoszona. Zatem poszło, iż i wody lubieńskie wcześniej od innych krajowych źródeł mineralnych weszły w używanie, iż o wiele wcześniej, aniżeli inne nasze zdrojowiska, urządzone i od chorych odwiedzane były.

Ztąd też urządzenie Lubienia jako zakładu zdrojowo-kąpielnego sięga prawie stuletniego już okresu, a historya tutejszego zakładu nadzwyczaj mogłaby być dla balneologii krajowej pouczającą, gdybyśmy ją posiadali. Na tle bo-

wiem stuletniej działalności zakładu lubieńskiego nietylko odbiły się pojęcia i zapatrywania się naszych lekarzy i naszej publiczności o działaniu i skutkach wody lubieńskiej, ale nadto w historyi zakładu Lubienia wykazaćby się dało rozmaity, a z biegiem czasu odmienny sposób używania kąpieli mineralnych w naszym kraju. Tu możnaby śledzić owych empirycznych sposobów i kuracyi kąpielnych, jak one z postępem czasu odmieniały i udoskonalały się; tu nareszcie balneotechnika nasza krajowa miałaby zapewnie niejedno rodzime do wykazania, właściwe swe zastosowanie.

Ale niestety, gruba zasłona niewiadomości pokrywa całą tak dla balneografii krajowej interesującą przeszłość zakładu zdrojowo-kąpielnego w Lubieniu, a tej zasłony dzisiaj nikomu przedrzeć się nie uda; bo nietylko Lubień, ale oprócz Krynicy prawie wszystkie zakłady zdrojowe kraju naszego nie posiadają swej historyi, co większa, wielom nie dostaje roku ich otwarcia, nawet nie mamy dat statystycznych ani co do ich uczęszczania w przeszłych czasach, ani co do ich rocznego spożytkowania, a wielom zbywa na właściwym i dzisiaj kierunku lekarskim. To też o przeszłości Lubienia zaledwie tyle tylko powiedzieć możemy, iż w r. 1798 miał już swego balneografa w osobie Karola Kroczkiewicza, który we Lwowie ogłosił drukiem przepisy dla używających kąpieli lubieńskiej „*Allgemeine Baderegeln für Lubień*“; iż w piętnaście lat później pierwszą po polsku o Lubieniu wiadomość napisał T. Salomon w „Rozmaitościach lwowskich“. A gdy o naszym polskim Lubieniu znowu po niemiecku pisano i drukowano, jak to uczynił zkądinąd czcigodny Torosiewicz i Walchner, nie dziw, iż polska publiczność nie znała swych wód ojczystych, a z niemi i Lubienia, który obcą a nie swoją mową do niej przemawiał.

Dawniejsza można dziedzicka Lubienia, hr. Jabłonowska, już w r. 1824 cieszyła się wielkim do kąpiel lubieńskich zjazdem chorych, skoro ich liczba do 490 dochodziła. Już w r. 1827 postarała się ona o rozbiór chemiczny swego zdroju, pobudowała tu liczne domy mieszkalne dla gości i łazienki; ale rzeczywisty wzrost, ulepszenie i prawdziwy rozwój zakładu w Lubieniu winniśmy Konst. br. Brunickiemu, który stawszy się od roku 1848 właścicielem Lubienia, wymurował tu nowy gmach łaziebny, pierwszy w naszych zakładach kąpielnych urządził i zaprowadził wanny porcelanowe, wystawił kilka ozdobnych domów mieszkalnych, założył tu kwieciste ogrody i spacery, sprowadził o 800 sążni wodę do picia, a nareszcie postarał się o nowy rozbiór chemiczny wody lubieńskiej; zgoła nanowo wskrzesił do życia tutejszy zakład zdrojowy, urządziwszy go w tym stanie, w jakim się obecnie znajduje.

Do zabudowań zakładu należy:

1) Domów mieszkalnych 10, mieszczących 150 pokoi gościnnych, przywoicie umeblowanych, zalecających się rzeczywistą taniością, tak dalece, iż mieszkania tutejsze nawet dla uboższych są przystępne.

2) Dwa budynki łaziebne, z których dawniejszy o 16 łazienkach, przed kilku laty (r. 1866) gruntownie przerobiony, znacznego doznał ulepszenia.

3) Nowe łazienki, murowane i odpowiednio urządzone, wystawił dzisiejszy dziedzic Lubienia Wny. Konstanty br. Brunicki. Gmach ten zawierający 28 gabinetów łaziebnych, posiada 6 wanien porcelanowych, najpierwej w galicyjskich zakładach kąpielnych w użycie tutaj wprowadzonych.

4) W okazałym murowanym domu mieści się traktyernia, salon do zabaw, z przynależącymi pokojami na pomieszczenie bilardu, cukierni i sal jadalnych przeznaczonemi.

Wszystkie powyższe budynki gustownie rozłożone i okolone kwiecistym ogrodem, poprzerzynanym gazonami i ścieżkami starannie utrzymywanemi, nadają zakładowi nader miłą dla oka całość i powab, jakiego nie znajdziesz w wielu innych naszych zakładach.

Umiarkowane ceny pomieszkań, a tem bardziej niska cena mineralnej kąpieli (w zwykłej wannie 45 kr., w porcelanowej 60 kr.), stół dobry a niedrogi, wyborne a tanie owoce, jagody, raki i ptactwo dzikie, których dostarcza cała niemal tutejsza okolica, wszystko to zaleca zakład lubieński, któremu pod względem porządku, schludności a staranności o wygodę i zadowolenie gościa nic zarzucić nie można.

To też od dawna mnóstwo zjeżdżało corocznie gości kąpielnych do Lubienia, a wówczas, gdy w innych naszych zakładach ledwo na dziesiątki gości liczono, Lubień wykazuje już

w r. 1824 osób 490
„ 1825 „ 482
„ 1826 „ 513

poratowania swego zdrowia tutaj szukających. Ależ od owych czasów wcale nie ubywało gości zdrojowych w Lubieniu; owszem mimo ułatwień podróży do zagranicznych zdrojowisk, mimo klęsk ogólno krajowych i wypadków politycznych, srogo ojczyznę naszę nawiedzających, utrzymywał się stale wielki zjazd do Lubienia, skoro

w r. 1859 bawiło tutaj 564 osób, dla których wydano kąpieli 14.600;

w r. 1861 wzmogło się uczęszczanie do liczby 580 osób, którym udzielono 12040 kąpieli, a uczęszczanie to chorych do Lubienia prawie stale się utrzymuje.

I zaiste nie może być inaczej; albowiem Lubień ma niepożyte warunki najświetniejszego bytu, bo znakomity ze swych skutków i nader obfity zdrój mineralny, utrwaloną od stu lat sławę, odpowiednie urządzenia; a sama łatwość jego komunikacyi, zbliżenie do sieci kolei żelaznych, tylko o milę od Lubienia odległych, tudzież jego niemal sąsiedztwo ze stołecznem kraju naszego miastem, zapewniają na

zawsze Lubieniowi znakomity poczet chorych, leczenia zdrojowego potrzebujących.

Zgodnie z niezachwianem przekonaniem, stwierdzonem wiekowem doświadczeniem, zdrój lubieński niezawodnie uleczy:

1) Gościec (reumatyzm) tak w powłokach skóry, jak i w mięśniach czyli muszkułach rozpostarty, czyliby takowy powstał w skutku wilgotnego pomieszkania, lub skutkiem gwałtownego przeziębienia.

2) Dnę czyli artrisis, rozumie się tam, gdzie nie ma cechy zapalnej tego cierpienia, gdzie choroba ta niczrządziła twardych obrzmień i guzów na stawach.

nych gościńców, najłatwiejszej opieki i pomocy lekarskiej, a w tak zdrowej i pięknej okolicy.

O przyjemności miejscowe bardzo jest dbałym zarząd zakładu w Lubieniu, do czego bliskość stolicy wielce dopomaga. Dobra muzyka kąpielna, częste towarzyskie wycieczki, zebrania z tańcami połączone, którym w dnie świąteczne uczestniczyć zwykła liczna omnibusami tu dojeżdżająca publiczność ze Lwowa, dodają ruchu i ożywienia zakładowi w Lubieniu.

Nie brak tu i innych intellektualnych rozrywek, jako to: czytelni gazet i pism peryodycznych, przez zarząd dla wygody gości utrzymywanych; jest tutaj (lubo skromna)



Kąpiele siarczane w Lubieniu. *(str. 358).*

3) Bardzo wiele zadawnionych i otrętwiałych wyrzutów skórnych, starych owrzodzeń na odnogach dolnych itp.

4) Również bole nerwowe, osobliwie natury reumatycznej; tak nazwany ból kulszowy, tudzież porażenia gośćcowe (paralisis), pomyślnie u wód lubieńskich leczone być mogą.

5) Nakoniec zołzy, czyli choroba skrofuliczna, bardzo skutecznie u wód lubieńskich wyleczyć się dają. Jakby sama Opatrzność obdarzyła Kraków Swoszowiczami, a Lwów Lubieniem, gdzie nasze dzieci zołzami dotknięte najłatwiej i najbezpieczniej znaleźć mogą dla swego leczenia pomieszczenie w pobliżu: głównego miasta, kolei żelaznej, wyborwypożyczalnia książek, a sąsiedni obok zakładu lasek, tudzież starannie utrzymywany spacerowy ogród w samym zakładzie, nastręczają gościom kąpielnym swobodnych przechadzek, którym uroku dodaje luba sielska natura całej tutejszej okolicy.

Wobec zatem tej najpierwszej potęgi źródeł siarczanych, jaką Lubieniowi z całą sprawiedliwością przyznać musimy, pragniemy należytego jego uznania od publiczności, jakiego Lubieniowi nikt ze światłych odmówić nie może i nie powinien. Pragniemy jednak zarazem dla Lubienia i racyonalnej co do postępu umiejętności lekarskich, a do potrzeb obecnego społeczeństwa kąpielnego zastosowanej

opieki nad zakładem tutejszym, której mu pewnie nie odmówi jego światły właściciel, poniósłszy tyle już ofiar dla Lubienia, pomny na ważność sprawy i na świętość obowiązków, jakie wiążą się z każdym zakładem kąpielnym dla nauki, dla ludzkości, i dla kraju własnego!

Dr. M. Z.

Urywki z rękopismu J. Gordona p. t. „Gdy się było młodym.“

(Dokończenie.)

Od tego czasu Maszynka częściej przyjeżdżała do mnie, lecz schodziliśmy się w mieście, aby nie dać drugi raz okazyi do pogoni podejrzliwej policyi kozackiej, która szukała zawsze sposobności, żeby módz bójki staczać z bezbronnymi sołdatami, stojącymi u nich garnizonem.

Jak wielka zaś panuje między niewiastami uralskiemi solidarność, chroniąca je od surowości ich mężczyzn, i jaka jest między niemi wzajemna tolerancya, dowodzą to najlepiej wybiegi Maszynki, która nigdy nie zawiozła mnie dwa razy do jednego i tegoż samego domu, lecz zawsze zajeżdżała do innego przez ostrożność, aby jej nie wyśledzono.

Wszystkie więc gościnne i usłużne gosposie, u których spędzaliśmy wieczory, znały się jak łyse konie między sobą i prawdopodobnie jednakowych były obyczajów, tak cechujących uralską rzeczpospolitą.

Niektóre prosiły mię, aby je poznajomić z Polakami.

Ale dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie! Nocne wycieczki tego rodzaju wcześniej czy poźniej mogły mię narazić na ogromną odpowiedzialność, kto wie czy i nie na zgubę?..

Raz nawet, gdy się w najlepsze z Kozaczkami zagadałem, buntując je przeciw Moskwie, poczęto walić do okiennicy. Struchlały nieboraczki. Atoli jedna z nich śmielszej natury nie tracąc przytomności, każe mi włazić do swego łóżka.

Ponieważ zdawało się, że nie ma innego środka ocalenia, gramolę się zatem na kupę pierzyn i poduszek, usłanych pod rozpiętym z muszlinu pawilonem, i tonę w nich, przysunąwszy się do ściany. Odważna zaś mołodyca siada na brzegu łoża; daje szczutka uśpionemu chłopięciu w kołysce, zawieszonej na linie u sufitu pod pawilonem; przebudzone pacholę zaczyna wrzeszczeć przeraźliwie, gdy matka mu przyspiewuje lu, lu, lu! la, la, la! i tak urządziwszy scenę, poleca otworzyć wrota nieproszonym gościom.

Zuchwała i hoża Masza, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, porywa za topór i wybiega na spotkanie rozbójników, gdy ja tymczasem wydobywam kindżał z zanadrza, i gotuję się do obrony.

Lecz za chwilę amazonka moja powraca, zanosząc się od śmiechu. Rozbójnikami bowiem były maski karnawałowe, chcące pokazywać figle za pieniądze. Kobiety w popłochu zapomniały o swoich „światkach“.

Nie wiedziałem, że i Kozacy mają karnawał, czułem tylko, że nie po rycersku jakoś wyglądam w obec wnuczek mężnego Pugaczewa, wyłażąc z pod ich piernata, gdy minęło niebezpieczeństwo. Nie mógłem sobie darować, żem usłuchał niewieściej rady; korciło mię to bardzo; i dlatego tym razem wyniosłem się z chaty wcześniej niż zazwyczaj, w dosyć kwaśnym humorze.

Obiecałem był Maszynce, że następny raz pojadę do niej na wieś. Widząc bowiem, że z czasem tak się do mnie przywiązała, iż skinieniu niemal była posłuszną przenikając myśli moje, postanowiłem ostatecznie do ucieczki ją przygotować i zaraz me zamiary wprowadzić w wykonanie.

Poczciwa Maszynka widziała we mnie wyrocznię dla siebie. Cieszyłem się tem bardzo — nie z próżności, broń Boże! — ale podobnie jak się cieszy ogrodnik, który doprowadził do pełnego rozwoju kwiat przez siebie pielęgnowany.

I odtąd nawiedzałem częściej towarzyszów broni, rozstawałem się z nimi z rzewnem słowem, w przekonaniu, że gdy im zniknę bezpowrotnie, zrozumieją wtedy sposób, jakim ich żegnałem. Zwierzenie się im z zamiaru uważałem nie tylko za niepotrzebne, ale i za szkodliwe, nie znajdując blisko siebie nikogo, ktoby miał dość cywilnej odwagi do spełnienia ryzykownego przedsięwzięcia.

I mówiłem sobie: Sanna doskonała, stępaki Maszynki jak trzy gończe charty; przytem kożuch wyśmienity, naciśnięta barania czapka na czoło, owiązana szalem ogolona broda, sanki napełnione spiżarnią i dzielna amazonka przy mym boku—a snadno przesuniemy się przez pustynię, zanim Moskale zwąchają, że nas im brakuje.

Na oznaczony dzień moja dobrodziejka przyjechała po mnie. Wprawdzie tej doby miałem kolej pójścia na wartę, lecz udało mi się nająć żołnierza za siebie i tym podstępem rozpuścić na dwadzieścia cztery godzin pęta mej niewoli.

Schadzkę naznaczyliśmy byli sobie daleko za miastem

u zwykłej mety mych wiosennych przechadzek: na historycznym mostku zawieszonym nad parowem.

Wskoczywszy do sanek, obejrzałem się z żalem na Uralsk. Ukazał mi się samotny, opuszczony, jak pień na pustyni snem ujętej, przyodzianej śnieżną, miękką kotarą. Jednem rzutem oka objąć go mogłem.

Znikł już z przedemnie, roztopiły się już na kanwie powietrznej jego bizantyjskie kopuły cerkiewne, ja się jeszcze nań oglądałem, na owę starą siedzibę; o tyle jest prawda, że dziwnych człowiek doznaje uczuć, gdy opusza miejsca, gdzie spędził długie, jakkolwiek szare pasmo dni swoich.

Oglądałem się mówię na ów czyściec mego żywota, w którym tylu a tylu jeszcze pozostało braci; gdzie młodzież nasza marnuje najpiękniejsze swe lata, starzejąc się przed czasem; gdzie więdnie, jak przesadzone z pod słońca do krainy lodowatej rośliny. A są to po większej części ludzie, których wiek rokował najchlubniejsze nadzieje dla ich rodzin i dla kraju wyludnionego z dobrych obywateli.

I boleść mną miotała na myśl, że pozostawiam ich na ziemi ucisku, i zgrzytałem zębami na swą bezsilność.

Maszynka siedząc z lejcami w dłoni na poręczy sanek, szanowała moje milczenie, jak gdyby rozumiała, zkąd ono pochodzi.

Potem chcąc mię rozerwać, opowiadała zajmującą historyą o mostku, punkcie schadzki naszej, a słowa jej ujarzmiły uwagę moję.

Rzecz się tak miała:

„W 1837 roku zawitał był do Uralska Aleksander II., będący podówczas wielkim księciem, następcą tronu i wielkim hetmanem kozackim. Wszystko miał wielkie!

„Synowie stepu, potomkowie Pugaczewa, wysłali do niego deputacyą, jako do najmiłościwszego opiekuna, z żądaniem naprawienia krzywd wyrządzonych im różnemi czasy, tudzież powrócenia odwiecznych przywilejów, które wszechwładny rząd, raz głaszcząc ich w porze wojennej, drugi raz przemocą podczas pokoju, powoli im wydzierał.

„Ataman, piastujący godność naczelnego dowódzcy Uralców, lecz przydany im z ramienia moskiewskiego, nie dopuścił posłów do podnóżka carewicza.

„Otóż panowie posłowie, nie namyślając się długo, zaczaili się pod mostkiem czychając na Aleksandra w dzień jego wyjazdu.

„A gdy powóz carewicza nadjechał, gromada brodatych staruszków wyskoczyła z pod mostu z sążnistem podaniem do jego w y s o c z e s t w a.

„Jego wysoczestwo tak się przeraził tą niespodzianką, jaką mu wypłatali w najlepszej wierze Kozacy, iż krew pociekła mu gębą i nosem. Ochłonąwszy atoli z przestrachu, przyjął podanie i obiecał im wszystko, o co prosili i nie prosili.

„Ale obiecanka ta dała im się wkrótce we znaki, gorzej od kości w gardle.

„Rozpoczęły się pałkowania, gonitwy, łapanie; był to sądny dzień dla Uralców; padło wielu niewinnych, kilka pułków rozesłano w odległe krańce Syberyi, miasto zostało spustoszone za obrazę majestatu najmiłościwszego Aleksandra Mikołajewicza...

— Spojrzyj-no na niebo! — zawoła nagle, przerywając swą opowieść Masza. — A czy słyszysz ten wicher zdala?.. Zła to wróżba... lecz nie bój się nic m i ł a s z k a!

— O r ł o m d i e t i! s o k o l i k i w y m o i! — krzyknęła na rączą trójkę, a ta poskoczyła jak oparzona.

Uciekaliśmy przed naciągającym huraganem.

III.

U MOŁODYCY WŁOS DŁUGI, ROZUM KRÓTKI, ALE SERCE TĘGIE.

Chmury z drogi, wiatry z drogi,
Ja pędzę, ja nie znam trwogi.

Leć więc trójko u d a ł a j a! parskaj rozdętemi nozdrzy! suń z wichrami na wyścigi! coraz dalej, coraz chyżej... u Maszynki stań!

Bo już fale śnieżne toczą się za nami, piętrzą się bałwany, ryczy mokra nawalnica piekielnej zawiei.

Zamroczył się widnokrąg, rozhulał huragan i dmucha po kirgizkim stepie.

To dusiciel! co w skwarne lato był z słońcem w przyjaźni, kąpał się w żarach i bryzgał wrzącym piaskiem na mongolską karawanę.

A Mongoły spiekłe miotały bluźnierstwa przeciw Bogu, co go zesłał; lecz próżne wycia, marne wrzaski, huragan posuwał się dalej.

To dusiciel! co w zimie pokrywa białym całunem ludzi i wielbłądów, stada owiec i koni, i wszystko co napotka.

A biada temu, kogo zaskoczy na drodze; umrzeć wtedy musi z całym swym dobytkiem; bo paszcza ziemi, na której huragan zwykł wyprawiać harce i gonitwy, jeno trupami żyje.

Z owym to rozdętym śmierci gońcem pędziliśmy w zawody. Maszynka chciała go wyprzedzić, lecz chociaż nie należał do najgorszych wichrzycieli, dognał nas przecie.

Nie było ratunku w walce z fatalizmem, wypadało się poddać.

Bohaterka zatrzymuje tedy spienione konie, kopiące się przez śniegi, bo nie ma już nigdzie śladu drogi; w koło step, straszny ocean zniszczenia, mroźna zasypa tnie w oczy, wiatr gwiżdże i burza huczy!

*

Hospodi pomiłuj! — zawołała mołodyca, dobyła wojłoka i nuż mię owijać co prędzej, mało na siebie zważając. Miała wprawdzie futro na ramionach, lecz cóż to znaczy wobec huraganu; jedynie wojłok oprzeć mu się może, a nie mogłem jej zmusić, żeby i o sobie nie zapominała. Cała rzecz, że zbawienny wojłok nie był dość szerokim, aby wystarczył dla nas obojga.

Biedna kobiéta usłuchała wreszcie głosu mojego i otuliliśmy się jak mogli. Nie dostrzegłem atoli, iż nogi jej były narażone na przeziębienie ze zbytniej troskliwości ku mnie.

Tymczasem burza ciągle huczała, aż w końcu zarzuciła na nas kołdrę białą puszystą.

Ogrzewaliśmy się tchnieniem piersi naszych; nie wystarczyłoby to atoli, i przenieślibyśmy się oboje chcąc nie chcąc do krainy duchów, gdyby huragan nie był się na szczęście wprędce udobruchał.

Zaszumiał on z całą wściekłością raz ostatni na pożegnanie i gdzieś sobie jak szalony poleciał, zostawiwszy nas żywych.

Widnokrąg się wypogodził. Widać tylko było w oddaleniu na horyzoncie łunę, podobną do olbrzymiej grupy czerwonych skał, osiadłych na ziemi.

Wyleźliśmy z pod wojłoka i poczęli się rozpatrywać w szczególnej sytuacyi.

Ze wzajemnej narady wynikło, iż trzeba zostawić uwięzłe szkapy, a samym bądź co bądź brnąć z powrotem do Uralska, który znacznie bliżej nam się być wydawał od folwarku Maszy.

Kopaliśmy się zatem przez śnieżnice i zawieje, odpoczywali co kilka kroków, i znowu przekopywali, oblani potem z utrudzenia, ostatnich sił dobywając. Gdyby nas napadł był drugi raz niesforny wichrzyciel w ciągu pieszej podróży, śmierć pewna! niezawodna!

Patrząc na kroczącą i zapadającą się co chwila Maszynkę, a pomimo to wyciągającą rękę w chęci dania mi pomocy, gdy się chwiałem ze znużenia, dziwny proces uczuć odbył się w mej duszy.

I zdało mi się, że ta kobieta, którą przygody tak zbliżyły do mnie, jest zapoznaną, godną lepszego losu, a przynajmniej zawdzięczenia z mej strony. I znalazłem ją piękniejszą niż zwykle. O tyle jest prawdą, że siła uczucia wyradza w człowieku, do którego jest zwrócone, drugie, podobneż uczucie.

Promieniejące dobrocią i poświęceniem oblicze Maszynki nabierało nieznanego mi dotąd wdzięku i jaśniało jakąś aureolą. Boć przecie pochodzeniem swem należała ona do wrogiego mi szczepu, a zdobyła mój szacunek i serce mocą swej ofiary!

Potoczyłem wzrokiem dokoła. Nigdzie oko nie znalazło dla się spoczynku; wszędzie nago, równo i biało; przerażająca cisza w naturze! I ciągle się zdaje, iż się jest na tem samem miejscu.

Lecz otóż zabłysło słońce; łamanie się światła o rozpostarty obrus połyskujący dyamentami, po którym z trudem stąpamy, zaćmiewa nam źrenice. Wtem opodal ukazują się jakieś oszańcowane zamczyska, kopce, minarety, w olbrzymich rozmiarach, ginące gdzieś w obłokach. Rozśmiała się mołodyca, będąc już obeznaną z owym majakiem stepowym, i zapytała naiwnie, czybym ją bardzo kochał, gdyby taki świat cudów zdołała stworzyć dla mnie?

Zbliżamy się ciągle do owego fantasmagorycznego grodu, lecz on usuwa się przed nami, w miarę jak postępujemy.

Z jakiegoż to kraju sfotografowało słońce ów ciekawy obraz na pustyni? Nie wiadomo. Ile secin mil rozdziela to odzwierciedlenie od rzeczywistego przedmiotu? Któż to wiedzieć może!

Naturaliści przypisują ten fenomen optyczny wyziewom pary. O podobnych zjawiskach zarówno na pustyniach jak i na morzu wiele już napisano teoryi. A chociaż owe przypuszczenia nie zupełnie zgadzają się z sobą, i choć ktoś mi powiadał, że ciężko uczeni doktrynerzy zazwyczaj najmniej wiedzą, chciałbym atoli im wierzyć, gdyby nie ta okoliczność, że wśród mojej pielgrzymki z Maszynką nic na stepie nie parowało.

Ulatniały się raczej w powietrzu krystalizacye, pyłki podobne do okruszyn brylantowych, pojawiające się nad poziomem w tęczowych kolorach z powodu gry światła, które jednak opadały na ziemię.

Już się miało ku zachodowi; już muezyn wzywał wierną Mahometowi ludność tatarską na wieczorną modlitwę; już jego tęskny, przeciągły, płaczliwy okrzyk muzułmański: „Hillalli hałłała!“—rozlegał się głośnem echem, a słońce zapadające na spoczynek rzucało krwawe błyski, pokrywające step różanym tiulem; gdy zziajani, zmęczeni całodziennym pochodem, dowlekliśmy się przecie do bramy miasta.

Maszynka miała się tam udać w celu wyszukania najemników, którzyby poszli z łopatami dla odgrzebania jej ekwipażu — ja zaś do koszar.

Ale ponieważ to zwyczajnie bywa, że nie obejdzie się dramat bez ustępów komicznych, spotkał nas wypadek następujący:

Rozstając się z sobą, słyszymy znienacka dzwonek, ktoś pędzi sankami i zbliża się szybko ku nam; nareszcie z narożnéj ulicy wylata dziarska trójka, uprzężona w dartego orła, to jest: środkowy koń w hołobli z podniesioną w prost głową, a dwa pozostałe z zakrzywionymi, jeden na prawo, drugi na lewo łbami. Lecz co gorsza, w sankach siedzi major, Michajłow IV., dowódzca mego batalionu, w jasnym płaszczu z ponsowym kołnierzem... wzrok mnie nie myli... a nie ma gdzie się podzieć... bo już nas widzi... nadjeżdża... i grozi nam palcem.



RATUSZ WROCŁAWSKI.

Gdyż trzeba wiedzieć, że major wołokita od dawnego już czasu zérkał za Maszynką, chociaż godna jego połowica o tem się dowiedziała i potężnie go za to gromiła.

Fałszywe więc położenie... lecz nie pozostawało, jak poddać się okolicznościom. Zdejmuję zatem furażerkę, wyciągam się jak struna, i staję frontem przed naczelnikiem, zupełnie tak, jak regulamin mikołajowski przepisywał zachować się żołnierzowi przy spotkaniu z oficerem.

Masza tymczasem zdążyła wpaść, na moje mignięcie, do znajomego domu.

— Ty zkąd wracasz bratiec? coś porabiał w stepie?— wrzaśnie satrapa zatrzymawszy konie.

Atoli znając jego tchórzowską naturę w obchodzeniu się ze zesłanymi Polakami, nie bałem go się wcale. Wiedziałem, iż lęka się on, jak ognia, każdego z nami zajścia, aby nie postawić się w konieczności składania o tem raportu do Petersburga i przeprowadzania śledztwa, na którem sam źle często wychodził.

— Biegałem — rzekłem z zimną krwią — ot tak sobie, dla nabrania wrażeń... panie majorze.

— Panie majorze? panie majorze! dam ja ci tu pana majora... Czyż nie wiesz, że mam nadany od cesarza tytuł wysoko błagorodja?... A włóczyć się za dziewkami potrafisz? Paszoł won! otprawliajsia na odwachtu!... dla nabrania wrażeń.

Nie było na ten raz sposobu wykręcenia się od kozy. Poszedłem tedy jak niepyszny aresztować się na odwach, spodziewając się, że drażliwy naczelnik niebawem tam za mną pospieszy.

I tak się też stało.

Jego wysoko błagorodje za pół godziny wpadł jak kula, wymyślał, krzyczał, hałasował; a ponieważ wartę trzymała właśnie ta rota, do któréj należałem, łatwo przypomniał sobie, iż obowiązkiem moim było stać razem z nią na posterunku, zamiast spacerować.

Wydało się więc, iż nająłem za się wartownika, a skończyło na tem, iż major kazał go natychmiast zmienić z placówki, jak również i podoficera, i obydwom porządnie wygarbować skórę; mnie zaś na cały tydzień zamknąć na chleb i wodę.

Michajłow IV. chciał się przy okazyi zabawić w dyplomacyą, bo o Maszynce ani mrumru! Kara dotknęła mię niby z prawa, za przewinienie służbowe. Lecz spojrzałem na niego, uśmiechnąwszy się lekko z ironią, i oczy nasze spotkały się z sobą; moje powiedziały mu, że w całej tej historyi krasna mołodyca, zazdrość, obrażona miłość własna pana majora, a nie subordynacya wojskowa odgrywa główną rolę; jego zaś potwierdziły to wszystko, i nie mogąc wytrzymać otwartości mego spojrzenia, spuściły na dół powiekę.

Był to tryumf sołdata nad pysznym sztabowym oficerem!

Snać tryumf ten korcił go wielce, i nie mógł go strawić, gdyż nazajutrz jeszcze nie zapomniał o mnie i kazał przyzwać na musztrę.

Nabiwszy przedewszystkiem po pysku gefreitera za to, że mnie nic nie nauczył, polecił przynieść bęben, odebrać mi z rąk karabin, wybijać marsza, a mnie stąpać miarowym przedłużonym krokiem, do taktu na jego wysoko błagorodja komendę.

I ciągle pomrukiwał:

— A uczony człowiek... a umie gadać po francuzku... a umie tańcować... a do maszerowania ani weź! Czort z toboj!...

Odsiedziałem nakoniec tygodniowy areszt, mając różne z majorem i arystokracyą wojskową małego miasteczka przeprawy. Wyklinałem ich w duszy, ale cóż to pomogło? I w kozie się nudzić, i na ćwiczenia wojenne uczęszczać, i słuchać bębna musiałem — jakby za pokutę.

Musiałem wedle zwyczaju przywdziewać pstrokaty mój uniform, iść do manežu, wykręcać się tam na pięcie na wszystkie strony, jak kazano; maszerować, gdyby automat chodzący; robić tępa bronią, zgodnie z drugimi; dźwigać na grzbiecie cielęcy tornistr z pakunkiem; a nawet wytrzeszczać oczy, gdy zawołano: Patrz weselej!

Lecz każdy na mojem miejscu pod brzemieniem przemocy toż samo by czynił, nie wyłączając i Napoleona, gdyby go Moskale pojmali i na swą uciechę w ten sposób się nim bawili.

Ale nie straszne było dla mnie więzienie; obici: podoficer, gefreiter i najemnik sołdat nie powzięli też zawiści ku mnie, jak sobie major tego życzył, gdyż tytułem plag niewinnnie odebranych pozyskali prawo do mojego worka i dostali na wódkę; — tylko markotno mi było bez Maszynki, tem więcej, iż się dowiedziałem, że wskutek przeziębienia ponowiła się u niej febra, tak niebezpieczna na Wschodzie.

Martwiłem się tem bardzo, wyrzucałem sobie, że to z mojej przyczyuy; cierpiałem podwójnie: raz z powodu choroby poczciwej, cichej i pełnej poświęcenia mojej przyjaciółki, powtóre, że w niwecz obrócone zostało spełnienie mych najdroższych zamiarów. Nie udało się!

Trzeba było na nowo o ucieczce przemyślać.

Aliści nad me oczekiwanie, i kiedy się tego najmniej spodziewałem, nastąpiła reorginizacya korpusu, w skutek której naznaczono mię do innego, stojącego o czterysta od Uralska wiorst batalionu, w fortecy Orenburgu.

Poźniej się dopiero dowiedziałam, że przenosiny te nastąpiły za staraniem mojej familii, którą o to listownie prosiłem był przed kilkoma miesiącami, gdy pobyt w Uralsku z powodu władzy brutalskiej nieznośnym mi się stawał.

Maszynka, jakkolwiek nie wyzdrowiała jeszcze, gdy jej dano znać o tranzlokacyi, zjechała natychmiast do-

miasta i zaprosiła mię na wieczór do swych koleżanek, przywiózłszy mi perski dywanik na pamiątkę.

Gdy ją ujrzałem, była wątłą i strwożoną; ale na oznajmienie, że zmiana miejsca może przyczynić się do mojego szczęścia, oblicze jej przybrało wyraz spokoju i uroczystej rezygnacyi.

Trudno atoli kobiecie zapanować rozumem nad sercem swojem. Skoro jej towarzyszki zaśpiewały piosenkę, coś podobnego do owej:

Nie będę, nie będę żołnierzów kochała,
Bo żołnierz pojedzie, ja będę płakała —

łzy potoczyły się po licu Maszynki strumieniem. Może i w moich oczach dojrzałaby ona kroplę rosy przy pożegnaniu, gdyby nie obawa bycia posądzonym, że jestem rodzaju żeńskiego.

Odtąd jej niewidziałem i nic nie wiem o losie biedaczki.

A dziś przedstawiają mi się dwie postacie kobiece:

Jedna z nich strojna, pokaźna; dumnie stąpa posuwistym krokiem, w wydętej sukni z oszywką z falbanek i ząbków; z firankami na tyle i kuperkiem z purpurowych wstążek; z pakietem fałszywych włosów; w kapelusiku, zakrywającym czoło, i bielidłem na licu; gorset ją ściska i jest wcięta w pasie.

Poluje ona na męża.

Nie płacze nigdy, bo to oczom szkodzi; nie kocha, gdyż to nie w modzie, zresztą każde wzruszenie przynosi wdziękom uszczerbek; pomimo to lubi siebie, siebie z najczystszym zapałem.

Do tego zna rachunki przewybornie, rzekłbyś, że cała zamieniła się w cyfrę. Przytem pląsa, brząka i spiewa, a czasami nawet zwierza się cioci, że się musiała podobać temu lub owemu, bo tak a tak była ubraną... i że za nią wzdychał, chociaż on niewdzięcznik tylko poziewał!

Drugą jest bronzowa postać czarnobrewej, potulnej, z sercem przeźroczystem Maszy, miłującej jak Pan Bóg przykazał.

Któraż więc z tych dwóch niewiast bardziej wraża się do duszy?

Są różne — jak to mówią — gusta i guściki.

Co do mnie, przenosiłem zawsze wieśniaczkę co kocha, nad królewnę co nie kocha.

RATUSZ WROCŁAWSKI.

Jedną z najdawniejszych prowincyi dawnego królestwa polskiego jest Szląsk. Kiedy jeszcze poźniejsza Rzeczpospolita polska szczupłą Piastów była zagrodą, już Szląsk stanowił jednę z nią całość, zespolony z rdzeniem wielkopolskim jednakowym językiem, jednakowymi obyczajami i zwyczajami, jednakowemi tradycyami historycznemi, słowem jednakową narodowością. Tymczasem szczególne zrządzenie opatrzności, szczególny prąd dziejów naszych, który unosił Polskę ku wschodowi od pierwszych prawie chwil jej wynurzenia się na widownię dziejową, sprawił, że ta prastara dziedzina królestwa Bolesławów, ten na wskróś polski Szląsk, zerwał najwcześniej macierzyste związki z Polską, i przeszedł w posiadanie obcych, najprzód Czechów, a poźniej wraz z Czechami Niemców.

Już w drugiej połowie XII. w., kiedy Polska pod synami Krzywoustego na udzielne rozpadać się poczęła księstwa, otrzymał Szląsk własnych zwierzchniczych książąt w synach wygnanego księcia krakowskiego Władysława II. Nie było to jeszcze wprawdzie stanowcze zerwanie wszelkiej jedności i spólności państwowej z Polską, ale Władysławowice urodzeni z Niemki, wychowani w Niemczech, przesiąknięci germanizmem, poczęli od pierwszego wstąpienia na ziemię szląską szerzyć germanizm i podkopywać narodową spólność Szląska z Wielkopolską i Małopolską. Szląsk stał się wkrótce pierwszą i najpotężniejszą kolonią niemiecką na ziemi polskiej, której stolicą był Wrocław. Bohaterski udział Wrocławian i Szlązaków w ogóle w bitwie pod Lignicą w r. 1241 zjednał im świetną pamięć w historyi, ale przyspieszył zgermanizowanie Szląska i oderwanie go od korony Piastów. Po pustkowiach, pozostałych po łupieży tatarskiej, rozgospodarowywali się odtąd tem szerzej niemieccy koloniści, zalewając swoim napływem cały kraj. Wynarodowieni, a kłócący się nieustannie pomiędzy sobą Piastowie szląscy, nie stawili zapory tej powodzi germańskiej, lecz owszem na oścież otwierali jej wrota. Nakoniec w chwili najkrytyczniejszej, w chwili kiedy Polska rozerwana wewnętrznemi zaburzeniami i rozkołatana najazdami sąsiadów poczęła się dźwigać z upadku dzielną prawicą Łokietka, wyrzekła się w r. 1227 rzesza książąt szląskich wszelkiego spólnictwa z macierzystym swym krajem, z koroną przodków swoich Piastów, i poddała się królowi czeskiemu. Odtąd już Szląsk nigdy więcej do pierwotnego związku swego z Polską nie powrócił.

Już w czasach polskich był Wrocław jednem z najpierwszych i najzamożniejszych miast szląskich. Książęta wrocławscy byli właścicielami najrozleglejszej dzielnicy, a częstokroć i po kilka dzielnic nietylko szląskich, lecz i małopolskich łączyli pod swojem panowaniem. W pier-

szej połowie XIII. w. dwa wielkie pożary szybko po sobie następując, zniszczyły prawie ze szczętem to miasto, ale na gruzach dawnego grodu zbudował cesarz Karol IV. nowy, który obdarzony swobodami i przywilejami, należąc do potężnego związku wielkiej Hansy, wkrótce handlem i przemysłem wzniósł się i niepomiernie wzbogacił. Czasy kwitnienia Hansy i handlu kontynentalnego ze wschodem, tj. w XIV i XV wieku, były też czasami najwyższegorozkwi tu zamożności i potęgi mieszczańsko-kupieckiej Wrocławia, i z tych też czasów pochodzą najświetniejsze gmachy starego miasta, pomiędzy którymi pierwsze zajmuje miejsce przedstawiony na naszej rycinie ratusz.

Poważny, wspaniały ratusz wrocławski, wymowny pomnik zamożności mieszczan wrocławskich, nosi na sobie wybitne piętno zabytków architektury XIV wieku, w którego początkach założone zostały jego fundamenta. Jak wszystkie prawie gmachy owych czasów, nie wyszedł on od razu skończony, w dzisiejszej swojej postaci, z ręki pierwszego architekty swojego, lecz każde pokolenie przez dwa wieki dodawało coś do uzupełnienia i upiększenia pierwotnej budowy. Bogate ozdoby rzeźbiarskie, zdobiące zewnątrz i wewnątrz kamiennym jakoby haftem poważne mury, zawdzięcza ratusz wrocławski XV, a w małej cząstce XVI wiekowi. Przysłonki okryte misterną rzeźbą koronkową, sute ornamenta przy osadach okien i drzwi, śmiało szpiczastymi szczytami strzelające w górę dachy, robią zeń jeden z najpiękniejszych pomników gotyki poźniejszej epoki.

Główny wchód położony jest w stronie wschodniej gmachu, na naszej rycinie po prawej ręce. Przez wspaniały portal, ozdobiony czesko-szląskim herbem, wchodzi się do obszernej, sklepionej sieni, która przerzyna cały budynek na przestrzał od wschodu ku zachodowi. Po prawej i po lewej stronie prowadzą ztąd drzwi do sal i pokoi, pomiędzy którymi na szczególną zasługuje uwagę „sala radna". Wstępuje się do niej przez tak zwaną „izbę poselską". Drzwi w stylu *renaissance*, arcydzieło w swoim rodzaju z r. 1528, kosztowne wykładania taflami drewnianemi snycerskiej roboty, i olbrzymi starodawny piec kaflowy z mnóstwem figur i ornamentów, stanowią główną ozdobę tego przybytku dawnych konsulów miasta Wrocławia. Małe, bogato rzeźbione drzwi żelazne prowadzą ztąd do „gabinetu konferencyjnego", z którego szerokimi schodami wychodzi się na pierwsze piętro. Najgodniejszą widzenia jest tutaj tak zwana „sala książęca", największa i najwspanialsza ze wszystkich, jakkolwiek straciła wiele ze swej cechy starożytnej przez odnowienie w ostatnich czasach. Sala ta, której ściany zdobią starożytne portrety, budzące wspomnienie historyczne, byłaby nierównie więcej imponującą, gdyby sklepienie jej, rozchodzące się w kształcie roztoczonego wachlarza od środkowego filaru, nie było za niskie w stosunku do rozległości sali i nie robiło przez to jakiegoś przydurzającego wrażenia.

Inne pokoje i sale tego starodawnego gmachu przerobione zostały stosownie do potrzeb tegoczesnych na kancelarye urzędu miejskiego, i dlatego przez zwiedzających bywają zazwyczaj pomijane. Ale ciekawy i skrzętny archeolog znajdzie i tam niejeden szczegół zasługujący na uwagę: jakiś herb dawny, jakieś odrzwia sztukaterskiej roboty, starodawny zegar, poczerniały portret, lub inny tym podobny antyk, odbijający w sposób dziwnie rażący od nowych sprzętów i dzisiejszego okolenia swojego.

Ale jeżeli kto już i zewnątrz i wewnątrz oglądał ratusz wrocławski, niechaj go pierwej nie żegna, dopokąd nie zajrzy jeszcze w jego podziemia, nie wstąpi do sławnej piwnicy piwnej, która z pod ratusza rozpościera swoje podziemne chodniki pod większą częścią wrocławskiego rynku. Piwnica ta jest podobno starszą od stojącego nad nią gmachu, gdyż już w r. 1335 znajdujemy o niej wzmianki w kronikach szląskich pod nazwą „piwnicy świdnickiej." Miano to zawdzięcza ona sławnemu swojego czasu piwu świdnickiemu, którego główny skład utrzymywali tam Wrocławianie. A musiało zaiste wyborne być ówczesne piwo świdnickie z piwnicy wrocławskiej, kiedy jeden z książąt Piastów szląskich takim był jego miłośnikiem, że gdy zamianowany biskupem porawskim dowiedział się w drodze do swojej rezydencyi biskupiej, że tam świdnickiego piwa nie dostanie, powrócił niezwłocznie do Wrocławia, woląc się zrzec infuły, niż przyjemności używania świdnickiego nektaru.

L. T.



NIEWIASTA W BOJU.

Niewiasta w boju.

Po sercach ludów przeszedł dreszcz zawiści szpetnej,
Ozwał się grzech Kaima, krwi ludzkiej wszczepiony,
I zawrzał pojedynek ludów nieszlachetny
Chłonący dobrobytu ich i wiedzy plony.

Nie pytajcież, kto raźniej wodził miecz i głownię,
Kto laur podjął z krwi bratniej, kto stracił sztandary?
Bohaterów nie tworzą krwawych walk widownie,
Gdzie nie rycerzy idą w bój, ale ofiary.

Tryumf z takich zapasów — to ludzkości klęska.
Opada zwyciężona ręka jak zwycięska;
I z ran znów bliźni mówi: Nieścież pocieszenie!

Ach, gdzie zgrzeszyła harda krew i siła męska,
Niewiasto! tam cię czeka ciche poświęcenie:
Bo twojem jest zadaniem ran tych zabliźnienie!

30. sierpnia 1870. B. K.

KTÓŻ ON JEST. CZYLI: NIEPROSZONE LICHO.

HUMORESKA

przez **WINCENTEGO SZARŻĘ.**

I.

Ściany mają uszy.

Gdyby ktoś nieproszony, i z wady podsłuchiwania nie robiący sobie wielkiego grzechu, przyłożył ucho do dziurki od klucza drzwi prowadzących do mieszkania pana Kalasantego Rzeszotki, usłyszałby duet zaimprowizowany na głos żeński i męski następującej osnowy:

Mezo-sopran: Proszę pana, co dziś na kolacyą przyrządzić?

Baryton: No, no, mój ty pieszczoszku... panna wyszła?

Mezo-sopran: Wyszła.

Baryton: To sami tylko w domu... sami jesteśmy... (Słowa te wypowiedziane były z radośnem sapaniem).

Mezo-sopran: To i cóż?

Baryton: No, nic... nic, ja tylko sobie tak mówię...

W tej chwili podsłuchujący usłyszałby ciężkie stąpanie i jednocześnie okrzyk mezo-soprana: O niech mi pan da spokój, bo aż wstyd!

Na to baryton odpowiedział głosem drżącym od wzruszenia:

— Czego?

Mezo-sopran: Że pan taki stary i łysy, a jeszcze się mizdrzy jak młody...

Baryton: No, no, ty figlarko, dokuczasz mi, ale ja się nie gniewam... jestem stary ale jary, dobrze zakonserwowany... przytem jestem wolny jako wdowiec.

Mezo-sopran: To cóż proszę pana na kolacyą będzie?

Baryton: A, jakżeś ty prozaiczna...

Mezo-sopran: Ale bo pan głupstwa gada...

Baryton: A ten z dołu stróż Franciszek, czy on głupstw nie gada?

Mezo-sopran: Jak pan o wszystkich myśli... ja pana nie pilnuję.

Baryton: Widzisz, to z dobrego serca.

Mezo-sopran: No, ja panu dziękuję za to.

Baryton: No, no, nie gniewaj się... Słuchaj, odwiązała mi się chustka na szyi, zawiąż mi ją.

Mezo-sopran: Jakże ja ją panu zawiążę?

Baryton: Tak jak umiesz... No, no... zawiąż...

Mezo-sopran: Ja nie zawiążę...

Baryton: Ja ci każę, jestem twoim panem!

Mezo-sopran: Do wiązania chustek się nie godziłam... jeszcze czego za czterdzieście złotych!

Baryton: Na przyszły miesiąc postąpię o dziesięć złotych.

Mezo-sopran: Tak, to co innego.

W tej chwili podsłuchujący usłyszałby głośny pocałunek i jednocześnie okrzyk mezo-soprana: Ach! pfe! jak się pan nie wstydzi!

Baryton (ze śmiechem): No, no, nikomu nie mów o tem, a na kolacyą polędwica z sałatą.

W tej chwili dał się słyszeć szelest sukni odchodzącego mezo-soprana, skrzypnięcie drzwi, poczem zapanowała

cisza. Cisza w pokoju ale burza w sercu, bo jak mówi poeta: Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!

Gdyby teraz podsłuchujący chciał wyprowadzić wnioski z całej tej rozmowy, musiałby przedewszystkiem na drodze loicznego myślenia przyjść do następujących pewników:

1) że między mezo-sopranem a barytonem zanosiło się na stosunki, wobec których szlachetne rysy nie jednego starego kawalera zapłonęłyby rumieńcem wstydu.

2) że idealizując postacie prowadzące dyalog, należałoby co najmniej barytona przedstawić sobie w postaci starego, łysego człowieka, o czem świadczyły słowa mezosoprana, chyba że wypowiedziane były w złośliwem usposobieniu... Bądź co bądź godząc te wątpliwości, możnaby przyjąć za pewnik, że bohater baryton był ciężkim *ergo* otyłym, co dało się ocenić z jego stąpania i sapania;

3) że mezo-sopran był młodą dziewczyną, gdyż ze starą stary szczebiotu miłośnego nie prowadziłby; co fizyk poparłby twierdzeniem, z zakresu praw elektryczności, iż dwa bieguny jednoimienne odpychają się, a różnoimienne przyciągają się, *ergo* mezo-sopran był młodą osobą;

4) młoda osoba była kucharką; w tem nie byłoby żadnej wątpliwości, sądząc ze słów odnoszących się do kolacyi i podwyżki zasług; że zaś sumienie młodej dziewczyny dało się zagłuszyć dziesięciu złotówkami, to inna kwestya, wpadająca w zakres moralisty ale nie humorysty.

Jedyną niepewność nasuwałyby słowa wzmiankujące zaraz na początku rozmowy

1) o jakiejś pannie, która miała wyjść, a której obecności konsekwentnie wnioskując baryton się obawiał. Cóż za jedna więc była owa panna?

2) Przedmioty wyobrażane nie są jeszcze rzeczywistymi; ideały noszą w sobie tylko prawdopodobieństwo. Baryton więc był prawdopodobnie starym i łysym, a dziewczyna prawdopodobnie młodą kucharką; ale ponieważ i święci nie wprzód uwierzą, aż dotkną, dlatego też i nasza wyobraźnia nie zadawalnia nas zupełnie, a ręka świerzbi, by przez dotknięcie przekonać się, że prawdopodobieństwa mają na podobieństwo nas skórę i kości; że baryton miał skórę i kości, nie ulegało wątpliwości, a sądząc z jego ciężkiego stąpania przychodziło się do przekonania, iż miał nawet zawiele ciała; ale jaka ta skóra była? i co pod nią było? a to „co" co czuje, myśli i działa?..

3) Kto podsłuchał tę rozmowę, a więc przed kim nasz bohater się zdradził?

Wszystkie te pytania, jak widzi czytelnik, są niezmiernej wagi, gdyż bez ich rozwiązania nie może być i mowy o dalszym ciągu humoreski, a cóż dopiero mówić o jej końcu. Tym sposobem mamy do odpowiedzi trzy pytania: 1) panna? 2) baryton? 3) podsłuchujący? Dla rozmaitości zaś rozpoczniemy odpowiedzią na trzecie, a skończymy odpowiedzią na pierwsze pytanie.

II.

Spotkanie.

Hrabia Alfred Cnotlikiewicz był mieszaniną powagi i wesołości; dwie te strony ducha walczyły z sobą bezustannie, a gdy jedna z nich odniosła zwycięztwo, to nie znała granic już swego panowania — *les extremes se touchent* — ztąd nierzadko można było widzieć pana Alfreda poważnie kroczącego po ulicy, z wzrokiem wlepionym w ziemię. Nie poznawał on wtedy nikogo, lub poznawać nie chciał; świat zewnętrzny dla niego nie istniał, a jeźli istniał, to pan Alfred wszelkiemi siłami starał się bronić przeciwko wrażeniom jego, nie chcąc nic obcego wprowadzić do głębi swego ducha, zadawalniając się samym sobą, i zapuściwszy się w siebie, jak górnik w szyby kopalni, tracił światło, roskoszując się ciemnością. Pan Alfred mieszkał w Warszawie. Warszawa, miasto gwarne i wesołe nie zgadza się z temperamentem melancholicznym, ale Warszawa posiada prócz hałaśliwych swych ulic wiele ustroni, w których nierzadko człowieka spotkać trudno. Do tych ustroni uciekał wówczas pan Alfred, jak np. do ogrodu botanicznego, i tu siedząc na ławeczce pod cieniem akacyi, nieruchomy, z przygasłem okiem przebywał po kilka godzin. Pan Alfred był zamożny, gdyby chciał uciech, mógłby je w wielkiem mieście znaleźć; ale on ich nie szukał, przeciwnie uciekał od nich, nie mało dziwiąc tem swych przyjaciół. To była jedna strona medalu, drugą była wesołość. Ktoby widział pana Alfreda, samotnie przebywającego długie godziny w ogrodzie botanicznym, tenby nie wierzył własnym oczom, ujrzawszy go strzelającego bąki, jak nasz Rej mówi, i dopuszczającego się największych pustot. Wtedy i przyjaciele około niego odżywali; przejazdki, teatr, zabawy, bale były na porządku dziennym, nierzadko miłostki, często i pozakulisowe tajemnice. Baczniejszy jednakże wzrok odkryłby wówczas w tej wesołości coś rozpaczliwego. Są ludzie, którzy lubują się w burzy, umysły pogodne nie znoszą piorunów; pokochać się w błyskawicy, to znaczy mieć w sobie coś szatańskiego. Tak jednakże strasznie jeszcze z panem Alfredem nie było. Pustota powstawała z nudów, smutek także z nudów, powszedniość życia wciągała w smutek; ale jedna myśl, jakaś nadzieja przygód niezwykłych rozpalała oko ogniem wesołości, blade lica pokrywała gorączkowym rumieńcem, na usta wprowadzała śmiech.

Taka okoliczność nadarzyła się pewnego dnia, gdy pan Alfred rano wolnym krokiem, w apatycznem usposobieniu wlókł się alejami do ogrodu. Nagle przeszła obok niego młoda panienka, a za nią służąca z koszem; widocznie szły do miasta, kosz i ranna godzina kazały się tego domyślać. Jest jakaś siła tajemna, co zbliża ludzi do siebie; rzekłby ktoś, że siła ta spoczywa w pięknych oczach, włosach, w rysach twarzy itd. Pan Alfred tego wszystkiego nie widział; pogrążony w zadumie, oswobodził się z niej

już wtedy, gdy młoda gospodyni znacznie się oddaliła, a przecież nie mógł się oprzeć chęci ujrzenia jej; przyspieszył kroku, zbliżył się do niej na małą odległość, zachwycał się jej białą szyją i pięknymi splotami włosów, powabną kibicią, jednocześnie uczuł w sobie jakąś obawę, jakiś lęk niczem nie wytłumaczony i nie śmiał wyprzedzić jej, by zaspokoić swą ciekawość. Młoda gospodyni postępowała dalej, Alfred szedł za nią mimowolnie. Wyprzedzę ją — myślał sobie — przekonam się, czy przeczucie mnie nie zwodzi, a po chwili myślał: ona musi być piękną. Chwilami chciał ją wyprzedzić, już w tym celu przyspieszył kroku, to znów się zatrzymywał, wahał i w oddaleniu postępował. W ten sposób odprowadził ją aż za żelazną bramę*). Tu młoda gospodyni rozpoczęła pielgrzymkę między kramami. Alfred stanął na uboczu, ścigając ją bezprzestannie wzrokiem. Tymczasem kosz napełniał się jajami, kurczętami, sałatą, pietruszką, etc., a młoda gospodyni żywo targ prowadziła z przekupkami. Zbliżę się — pomyślał sobie Alfred — usłyszę jej głos; głos to część naszej istoty, w jego dźwięku gra dusza, będę miał więcej danych do sądzenia. Co pomyślał, wykonał, trzymając się zawsze z tyłu, by nie być spostrzeżonym. Usłyszał głos; głos ten był rzewny, tkliwy, czuły, najpiękniejszą melodyą wydawał się dla uszu Alfreda, dźwięki jego pochwytywał w powietrzu, na falach jego płynął w jakąś rajską nieskończoność. Jeźli posiada tak piękny głos, jakżeż muszą być piękne jej oczy, roskoszne usta, anielski wyraz twarzy; zdobędę się na odwagę, zbliżę się do niej, spojrzę w jej oczy, w własne oczy skupię taką potęgę miłości, iż rozbroję jej gniew za natręctwo swoje. Z temi myślami przedarł się Alfred przez ciżbę przekupek, co nie odbyło się bez pewnych ofiar z jego strony, i stanął przy straganie w chwili, gdy ideał jego z oburzeniem wykrzykiwał: Bój się pani Boga, po pięć groszy za jaje!

Alfred spojrzał, zadrżał. Jednocześnie dał się słyszeć okrzyk: ach!—i tuż za nim nastąpił łoskot rozbijającego się na bruku kosza, który wypadł z rąk kucharki towarzyszącej młodej gospodyni, i trzask tłuczących się jaj, i serenada pierzastych powiązanych w koszu stworzeń, które nie zbyt rade były temu upadkowi. Z wrzawą ztąd powstałą połączył się kwik prosięcia uwiązanego za nogę do stragana, któremu na kark spadł kosz, zanim nie oparł się na bruku, krzyk podziwu sąsiednich przekupek, śmiechy łobuzów, łajania młodej gospodyni, płacz służącej.

III.

Z przeszłości.

Hrabia Alfred Cnotlikiewicz mieszkał na Nowym świecie; zajmował tu dwie stancyjki na pierwszem piętrze, nie odznaczające się wielkością, lecz pięknem umeblowaniem; dla kawalera mieszkanie to wystarczało; pierwszy pokój służył do przyjmowania gości, drugi za sypialny. W sypialnym pokoju stało tylko łóżko, a przy niem stoliczek; w gościnnym za to spotkałeś i dywany i piękne meble, i kwiaty w oknach, które przemawiały o poetycznej duszy hrabiego, a fortepian o zamiłowaniu w muzyce. U hrabiego rzadko kto bywał, niestały jego humor odstręczał od niego przyjaciół; nieraz bowiem pan Alfred znudzony ich towarzystwem nagle popadał w mizantropijne swe usposobienie, i wtedy zamykał się w swoim pokoju sypialnym. Przyjaciele z kwaśnym humorem wychodzili wówczas. Naturalnie, że po kliku dniach następowały przeprosiny, lecz raz zrażeni goście nie pokazywali się więcej, nie chcąc być narażonymi na podobne postępowanie. To też pan Alfred najczęściej sam w domu przebywał, grając całemi godzinami na fortepianie, lub z nudów zajmując się ogrodnictwem doniczkowem, najczęściej zaś przesiadywał po za domem. Samotność jego przerywał tylko stary Grzegorz, stróż tego domu, który rano przyniósł z restauracyi herbatę, słał łózko i porządek zaprowadzał w mieszkaniu; a wieczorem? wieczorem także przyniósł z restauracyi herbatę, słał łóżko i porządek zaprowadzał w mieszkaniu. Ta jednostajność jego czynności nużyła pana Alfreda tak, iż każde się jego okazanie było hasłem do wychodzenia z domu, z wyjątkiem wieczorów, gdyż stary Grzegorz wszystko już załatwił przed przyjściem pana. Czy stary Grzegorz poznał, iż nudzi swego pana swą obecnością, czy też inna okoliczność była przyczyną, iż niekiedy wyręczał się swą córką Aurelią w zaprowadzaniu porządku w stancyi.

Aurelia młoda dziewczyna lat dwudziestu, z czarnemi włosami, z noskiem zadartym, filuternemi oczyma, mniej nudziła pana Alfreda, aniżeli jej ojciec; stary Grzegorz spostrzegł nawet, iż jego pan nie wychodził tak wcześnie, jeźli on herbaty nie przynosił. Dawało mu to dużo do myślenia; niepokój jego zwiększył się jeszcze, gdy spostrzegł w oczach córki niebywały dotąd smutek. Powiedzmy jednakże nawiasem, że ojciec się mylił w swych przypuszczeniach. Hrabia był Cnotlikiewiczem, ta sama okoliczność powinna już była uspokoić starego Grzegorza; lecz nieszczęściem ludzie niebu są niedowierzającymi; przyczyna tej niewiary leży w doświadczeniu, a więc w poznaniu ludzi tylko ze złej strony.

— Czego jesteś smutną? — pytał się ojciec córki — dawniej tego nie bywało?

— Ja smutną? — odpowiadała dziewczyna z pewnym niepokojem i rumieńcem na twarzy.

Ten rumieniec i ten niepokój w oczach nie bez przyczyny — myślał sobie stary Grzegorz i nalegał dalej: — Kochasz pana hrabiego... kochasz, próżno się z tem ukrywać będziesz.

— Ależ co ojciec mówi... gdybym nawet kochała, czyż

*) Miejsce targów w Warszawie.

hrabia zechciałby nawet spojrzeć na biedną dziewczynę, córkę stróża! — i mówiąc to spuściła oczy.

— Stróża nie stróża — odpowiadał Grzegorz — tu nie o pochodzenie, ale o wdzięki chodzi; ty nie jesteś szpetną dziewczyną, a hrabia... tu stary nie kończył, tylko machnął ręką, wyrażając niewiarę względem jego uczciwości.

Rozmowy tego rodzaju często się powtarzały, a stary Grzegorz z każdym dniem spostrzegał większy smutek w swej córce; nareszcie pewnego dnia rzekł do niej:

— Wynalazłem dla ciebie służbę, nie chcę, żebyś mnie dalej zastępowała; diabeł nie spi, i nie chcę obarczać swego sumienia odpowiedzialnością przed Bogiem. Jutro pójdziesz do nowego swego pana, Kalasantego Rzeszotki, mieszkającego w alejach; jest on właścicielem sklepu z mydłem, bardzo porządny człowiek, wdowiec, mający dorosłą córkę; o los twój w jego domu jestem spokojny.

— Ojcze — odpowiedziała Aurelia ze łzami w oczach — nie wypędzaj mnie od siebie.

— Kochasz hrabiego, nieszczęśliwa! — zawołał stary Grzegorz, pochwyciwszy córkę silnemi ramionami i wstrząsając ją gwałtownie — głupcem byłem, ślepym, nie widząc tego dawniej; dziś jeszcze tam się udasz, dosyć tych głupstw.

Dziewczyna stała odurzona, prawie bez przytomności; stary Grzegorz tymczasem zbierał jej rzeczy złożone z kilku koszul i jednej sukni, i zawiązał je w chustkę, następnie podał tłómoczek córce i głosem stanowczym rzekł:

— Idź do pana Kalasantego Rzeszotki i powiedz, że jesteś córką starego Grzegorza.

Aurelia bezwiednie zabrała tłómoczek, pocałowała ojca w rękę, i ze łzami w oczach wyszła na ulicę; postąpiła kilka kroków, spojrzała w okno pana hrabiego i serdecznie rozpłakała się.

Hrabia stał w oknie; płacz jej zdziwił go niemało, przywołał ją do siebie; Aurelja nie długo namyślając się, poszła za tym głosem. Gdy weszła do pokoju hrabiego, stanęła przy drzwiach milcząc.

— Czego płaczesz? — rzekł hrabia, przystąpiwszy do niej.

Dziewczyna opowiedziała powód swego żalu, iż opuszcza ojca, obejmując służbę w domu jakiegoś mydlarza, zataiwszy jednakże główną przyczynę, leżącą w podejrzeniach ojca...

Hrabia wysłuchawszy jej opowiadania, dużemi krokami przechadzał się po stancyi, zdawał się być bardzo zamyślonym, niekiedy spoglądał na Aurelię wzrokiem nie zbyt obojętnym; chodził jeszcze długo, zdając się toczyć z sobą jakąś przykrą walkę; po chwili przystąpił do Aurelii i rzekł:

— Co ojciec ci każe, dobrze każe, słuchaj go, a będziesz szczęśliwą; o tobie gdziekolwiek będziesz, nie zapomnę, a gdy będziesz miała iść za mąż, daj mi znać o tem.

Dziewczyna pocałowała hrabiego w rękę i wyszła; po chwili hrabia zawołał starego Grzegorza, zdawał się być bardzo zagniewanym, jakkolwiek ani słowem, ani giestem nie zdradzał swego wewnętrznego stanu. Gdy Grzegorz wszedł, rzekł doń:

— Grzegorzu, od dziś nie będę już potrzebował twej usługi.

Poczem wyjął z biurka kilka rubli, podał je staremu. Stary milcząc wyszedł w osłupieniu; dopiero na schodach się opamiętał i pomyślał sobie:

Nie pomyliłem się.

Myśl ta była zemstą i wzgardą ojca dla hrabiego, dodajmy wzgardą niezasłużoną.

Od tego wypadku wiele dni upłynęło, i hrabia, z pewnością można twierdzić, zapomniał o Aurelii. Niemałe więc było obustronne zdziwienie ze spotkania się za żelazną bramą; kucharką bowiem, która towarzyszyła młodej gospodyni, była Aurelia. Hrabia zajęty wdziękami gosposi, nie zwrócił zupełnie uwagi na dawną swoję służącą, nie będąc również przez nią widziany, gdyż postępował w znacznej odległości; nagłe ukazanie się jego przy straganie wywołało w pamięci biednej Aurelii całą boleśną przeszłość i okrzyk: Ach! — a pośrednio było przyczyną potłuczenia jaj. Hrabia, który wobec swej młodej nieznajomej nie chciał popaść w żadne podejrzenie, i tym sposobem przy pierwszem spotkaniu przedstawić się w świetle niekorzystnem, uważał za stosowne zrobić najspieszniejszy odwrót; tak też uczynił, ale niestety na drodze jego stała jakaś podżyła jejmość z garkiem ze śmietaną; kwik prosięcia i łoskot tłukących się jaj zwrócił jej uwagę na stragan, przy którym ten wypadek się wydarzył. Dla gospodyni wypadek ten miał w sobie coś niepospolitego, dającego się przyrównać do kryzys ministeryalnej dla świata politycznego, lub *coup d'état;* stanęła więc pełna podziwu, jednocześnie nauczona obcem nieszczęściem, ściskając tem lepiej w rękach garnek ze śmietaną. Przysłowie mówi, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem... Pan Alfred wpadł w nagłym odwrocie na starą jejmość; jejmość krzyczy, garnek pęka, śmietana się wylewa. Pan Alfred zaniepokojony niespodzianą swą sytuacyą, nie chcąc się wystawiać na dalszy wstyd w oczach swej młodej nieznajomej, postanawia uciekać. Jejmość chwyta go za połę surduta, hrabia się wyrywa, a jednocześnie pękają szwy i kawał sukna zostaje w rękach gospodyni; w skutek tego wypadku hrabia z podwójnym impetem wpada na jakiś kram, kram się przewraca, a hrabia nogami w powietrzu zakreśla koła; powstają groźby, nawoływania, krzyki. Nieszczęśliwy nasz bohater zrywa się z ziemi i poczyna uciekać. Stój! Łap! Złodziej! rozbójnik! — krzyczą chórem przekupki gromadnie go ścigając. Powstaje wrzawa nie do opisania, jaką tylko wywołać mogą przekupki warszawskie; hrabia widzi przed sobą jedyny ratunek ogród saski; wpada tam lotem błyskawicy, przebiega aleje, słysząc za sobą gonitwę i krzyki.

Zdyszany, zmordowany, zatrzymał się dopiero na placu saskim, a tu spostrzegłszy urwaną połę swego tużurka i obfite ślady śmietany, wpadł do doróżki, kryjąc się przed wzrokiem przechodniów, rozkazawszy się wieźć na Nowy Świat.

— Fatalne spotkanie — zawołał hrabia, znajdując się już u siebie — nie najlepiej wróży na przyszłość; lecz bądź co bądź, muszę poznać piękną gosposię, muszę się zbliżyć do niej; jest w niej coś, co mnie porywa, zachwyca, każe mnie zapominać o sobie. Muszę ją widzieć! ale jak?

Tu pan Alfred począł się przechadzać dużemi krokami po stancyi.

— Pójdę jutro w aleję — myślał sobie — wszak młoda gosposia codziennie musi chodzić do miasta; spotkam więc ją, odprowadzę do domu, dowiem się gdzie mieszka, bliższych szczegółów zasięgnę od Aurelii.

Hrabia Cnotlikiewicz zatarł ręce radośnie, żywo jeszcze chodził przez chwilę po stancyi, wkrótce ziewnął raz i drugi i trzeci raz, poczem apatycznie rozciągnął się w fotelu, i według swego zwyczaju pogrążył się w stan kwietyzmu.

Na jeden dzień było już dosyć wzruszeń.

IV.

Właściciel sklepu z mydłem.

Pan Kalasanty Rzeszotko nie był pięknym mężczyzną, wyobraźnia grecka bożka swego Apolina w klasyczniejsze ubrała kształty; to też nie zbyt bacznego potrzeba było wpatrzenia się w jego twarz, by przyjść do przekonania, że właściciel sklepu z mydłem jest brzydkim. Dowcipniś powiedziałby: nie piękny ale też i nie ładny; bo proszę wyobrazić sobie człowieka niskiego wzrostu, grubości wyrównywającej wysokości, a więc masę ciała sześciokątną, spoczywającą na dwóch pedałach bezkształtnych, figurę z czaszką gołą, z kosmykami włosów w okolicach uszów, z nosem pokrytym polipami, które ku niesławie chirurgów wiecznie mimo dokonywanych operacyi odrastały. Proszę dotego dodać małe oczki szare, niknące pod tłustemi powiekami i fałdami policzków, a utworzy się tym sposobem portret wierny pana Kalasantego. Właściciel więc składu mydła nadawał się na bohatera romansów Wiktora Hugo, i może unieśmiertelniłby się tym sposobem, gdyby nie znaczna odległość dzieląca go od poety.

Gdzie zbytek ciała, tam niedostatek ducha, wbrew teoryom materyalistycznym. Pan Kalasanty poza interesami swego handlu mydłem i pieczenią, a szczególniej ulubioną polędwicą, nic więcej na świecie nie widział. Rozumował bowiem sobie tak: Wszystko na świecie jest mydłem albo nie jest mydłem; jeźli jest mydłem, mało się oto troszczę, ponieważ go dosyć w swym składzie posiadam; jeźli nie jest mydłem, e r g o nie zasługuje na uwagę. A względnie pieczeni w następny sposób myślał, jakkolwiek myślenie zaliczało się u niego do rzadkich grzechów: Wszystko co jest, już dlatego, że jest, ku pożytkowi żołądka obracane być winno.

Śladów więc życia umysłowego trudno się było doszukać w pełnem obliczu pana Kalasantego, i myliłby się, ktoby z fortepianu, obrazków na ścianie i dywanów na podłodze podejrzywał mieszkańców o poetyczne usposobienie. Było to wszystko dla utrzymania dobrego tonu.

Pan Kalasanty mieszkał w własnym domu w alejach, sklep z mydłem był na dole, właściwe mieszkanie na górze.

Pan Kalasanty był wdowcem, miał córkę.

Jakiś filozof powiedział, że mężczyzna ma ciało prozaiczne a duszę idealną, kobieta zaś ciało idealne a duszę prozaiczną. O ile pierwsza połowa tego twierdzenia w części tylko sprawdzała się względem pana Kalasantego, o tyle druga względem jego córki była najzupełniejszą prawdą. Ciało idealnie piękne, dusza prozaicznie brzydka. Panna Eleonora, o ile pod względem zewnętrznym była przeciwstawnią ojca, o tyle identyczność najzupełniejsza zachodziła pod względem duchowym. Było to ciało z ciała i kość z kości ojca, jeźli w dziedzinie ducha użyjemy wyrażenia zmysłowego. Panna Eleonora lubiła pieczeń jak tatko, panna Eleonora przepadała za interesami jak tatko, panna Eleonora nie lubiła czytać wierszy, ani z m y ś l o n y c h powieści jak tatko; różnica jedyna zachodziła pod względem gry na fortepianie, której panna Eleonora oddawała się dla dobrego tonu, tem więcej, że okna pokoju wychodziły na ulicę.

Ulubionem pytaniem panny Eleonory było:

— Tatku, kiedy będziem mieli milion?

A pan Kalasanty z głębokiem westchnieniem odpowiadał:

— Jeszcze nie prędko.

— Papo, czy to koniecznie trzeba mieć milion, żeby mieć powóz i konie? — pytała się dalej.

— Niekoniecznie, ale zawsze lepiej czekać, aż się okrągła sumka zbierze; im oszczędniej się żyje, tem prędzej do celu się dojdzie.

Wtedy córka wywnętrzając się, mówiła:

— Ach tatku, jakbym ja chciała wyjść za mąż bogato!

— O moje ty złoto!—odpowiadał z rozrzewnieniem papa.

W ten sposób toczyły się rozmowy między ojcem i córką, i Bóg wie, jakby nasza rodzina długo żyła w niezamąconym spokoju, gdyby nie przypadek spotkania się hrabiego Cnotlikiewicza z panną Eleonorą. Od pamiętnego bowiem wypadku za żelazną bramą hrabia nie mógł zapomieć o młodej gosposi, a słowa wyrzeczone przez nią do przekupki: Bój się pani Boga, po 5 groszy za jaje— mimo całej swej prozaiczności drgały ciągle melodyą w uszach pana hrabiego. Dlatego to często przechadzał się po alejach pod domem pana Kalasantego, myśląc o sposo-

bach zapoznania się z piękną gosposią; chodził długo, i myślał długo, lecz nie mógł znaleźć sposobu. Pan Kalasanty z córką nigdzie nie bywał, u pana Kalasantego także nikt nie bywał, coby mógł hrabiego wprowadzić. Co tu począć? jak sobie poradzić? Nieraz już pan Alfred postanawiał rozstać się ze swymi zamiarami, lecz nowe spotkanie się z panną Eleonorą i czarowne jej spojrzenia silniej jeszcze rozbudzały w nim pragnienie zrobienia znajomości; lecz czy tylko znajomości? zdaje się, iż poza nią miało być jeszcze coś więcej. Ale co, o tem sam tylko hrabia wiedział.

— Pójdę sam, dam się poznać, będę wytłumaczony brakiem wszelkiej innej sposobności zbliżenia; lecz dla uskutecznienia tego śmiałego kroku potrzeba osłonić się charakterem demokratycznym, niech będę jakimś np. Apstrifikoltifikiewiczem. Zbadam tym sposobem charakter ojca i panny, a wówczas, wówczas?...

Alfred nie na żarty miał jakieś zamiary; uśmiechnął się, zatarł ręce, i posuwistym krokiem ruszył ku alejom w godzinie, o której zwykł był spotykać pannę Eleonorę, wracającą wieczorem ze spaceru.

Zmrok już zapadał, w oknach było jeszcze ciemno. Pan Alfred wszedł na schody, dotarł już do drzwi i stanął, usłyszał bowiem wewnątrz rozmowę. Słowa to szata ducha, mowa to źwierciadło, w którem się odbija cała nasza wartość umysłowa i moralna. Dlaczegoby więc nie poznać wprzód osób, z któremi za chwilę ma się do czynienia. Alfred przyłożył ucho do dziurki od klucza i wysłuchał całą rozmowę przytoczoną w rozdziale pierwszym. Panny Eleonory nie było jeszcze w domu. Alfred zdumiony tem, co usłyszał, wyszedł w aleje, i tu przechadzając się oczekiwał jej nadejścia.

V.

Pan Kalasanty myśli!

Pan Kalasanty siedzał w oknie z fajką; powtarzało się to codziennie o tym czasie, że zaś i pan Alfred zwykł był wówczas odbywać swe przechadzki pod oknami, nic dziwnego, że ściągnął na siebie uwagę.

Kto może być ten młodzieniec, co od kilku dni łazi pod oknami—myślał sobie pan Kalasanty—zdaje się, jakoby co zgubił, a szuka. Przyznam się, że mnie to już niepokoi z przyczyny mojej Eleonory; licho wie, jaki on może mieć zamiary? Nie sądzę, żeby dla samej przyjemności taką przechadzkę urządzał.

Pan Kalasanty pociągnął fajki, westchnął i myślał dalej:

— Ach! ile razy pomyślę o mojej Eleonorci, o tym pieszczoszku, a następnie o pokusach i sidłach, któremi te dziewczęta są otoczone, o tych szatanach w angielskich kołnierzykach, to dalibóg aż mi strach. O świecie! o zgrozo! takiż to jest teraz wiek XIX! Szczyci się postępem, cywilizacyą, a ładnej kobiecie przez ulicę spokojnie przejść nie da. Ot naprzykład ten gagatek wychuchany ręczę, że on ma jakieś zbrodnicze zamiary na moję córkę. Łazi jak trubadur średniowieczny pod oknami, gotów jeszcze kiedy podczas księżycowej nocy urządzić serenadę. O zgrozo! bodaj to Ameryka!

Pan Kalasanty pociągnął fajki, westchnął i myślał dalej:

— Tam być kobietą, to tak jak tu być mężczyzną Nikogo tam nie dziwi, że kobieta jest kobietą. Och! kiedyż przyjdzież upragniona chwilo, że kobiety po cukierniach będą grać w bilard, a mężczyzni pogrążeni w gazetach i w dymie tytuniowym, będą obojętni na ich wdzięki niewieście? Gdybym był ministrem oświecenia—tu pan Kalasanty podrapał się po łysinie, jakoby dziwiąc się, zkąd mu ta niepodobna do spełnienia myśl przyszła — gdybym był ministrem oświecenia, kazałbym chłopców i dziewczęta od najmłodszych lat wychowywać razem, wiecznie razem, tak ażeby nakoniec ze znudzenia patrzeć na siebie nie mogli. Ileż by to złego na świecie mniej było?! Niebyłoby przynajmiej takich trutniów jak ten, co teraz pod oknami promenadę urządza. Córka moja uskarza się przedemną, że ją już kilka razy zaczepiał, narzucając się ze swą nieproszoną grzecznością w odprowadzeniu; lecz jeźli i dziś coś podobnego się zdarzy, to wypadnę z cybuchem, z laską, z czemkolwiek wreszcie w ręku, i taką mu dam pamiątkę... że ruski miesiąc popamięta!

Tu pan Bonifacy ścisnął pięście, a okrągłe policzki zapłonęły słusznem gniewem.

VI.

Nieproszony gość.

Nagle otworzyły się drzwi i wszedł albo raczej wpadł pan Alfred, który nie mogąc doczekać się na pannę Eleonorę, a widząc światło w oknach sądził, że jest w domu, i chwilę tę postanowił użyć na złożenie pierwszej wizyty.

— Ach! pan hrab... zawołała ujrzawszy go Aurelia...

— Cicho! ani słowa... przerwał jej pan Alfred—udawaj, że mnie nie znasz.

— To ten przeklęty trubadur — mruknął sobie pod nosem pan Rzeszotko — licho go tu sprowadza.

Tymczasem pan Alfred nie zważając na chmurne oblicze pana Kalasantego, zbliżywszy się do niego wśród grzecznych ukłonów uprzejmym tonem mówił:

— Wybacz mi pan dobrodziej, że w tak spóźnionej porze mam przyjemność przedstawić się panu; lecz przeczytawszy w kurjerku, że w pańskim składzie dostać można mydła w różnych gatunkach po zniżonej cenie, zgłaszam się do pana dobrodzieja.

— W takim razie — odpowiedział pan Kalasanty — zadałeś pan sobie zbyt wiele trudu, gdyż mydło sprzedaje

się na dole, w sklepie, a tu jest moje mieszkanie — dodał z naciskiem.

— Czyni mi to zaszczyt... że... że pan dobrodziej... ma skład mydła... mówił urywanym tonem Alfred, chcąc na wszelki sposób zawiązać rozmowę z niegościnnym gospodarzem i doczekać się ukazania panny Eleonory.

Tymczasem pan Kalasanty na grzeczne słówka odpowiadał szorstko:

— Na dole... na dole panie..

— W najlepszych gatunkach — ciągnął dalej Alfred nie zrażając się postępowaniem pana Kalasantego.

Aaa! to waryat! — pomyślał sobie tym razem pan Rzeszotko.

— Czyni to panu zaszczyt, że w ogólnym postępie przemysłu sklep swój zaopatrzyłeś w produkta industryi...

Aaa! co on dalej powie?... mruczał niecierpliwiąc się pan Kalasanty...

— Zapewne i mydło szare znajduje się w pańskim składzie?...

— Szare, nie szare, mój łaskawy panie!...

— Bardzo mi to miło słyszeć. Mydło szare jest bardzo ważne w gospodarstwie domowem, jakoto: do szorowania stołów, podłóg, schodów, a jeźli nie wydaje pewnego odoru niemiłego, to przyznać należy, że pański skład jest pierwszorzędnym w Warszawie...

Zaczyna mnie niecierpliwić — mruczał gniewnie pan Kalasanty, ściskając pięście.

— Pan zapewne jesteś lubownikiem muzyki — ciągnął dalej Alfred, otworzywszy fortepian i uderzając na nim kilka akordów.

— Aaa!.. muzyki. A to jakiś brutal, nieproszony wchodzi i rozgospodarowywa się jak we własnym domu..

— Pan lubisz Betowena? a może pan przekładasz Gounoda? Ach! ten Faust, powiadam panu to coś czarującego.

Tu pan Alfred zanucił spiew Małgorzaty przy kołowrotku.

— A może pan przekładasz nad obudwu wspomnianych Verdego?...

— Żadnego proszę pana nie przekładam — odpowiedział Kalasanty zniecierpliwiony, myśląc nad sposobem wyproszenia niespodzianego gościa.

— Ach cóż to za piękny obraz! — mówił dalej Alfred, wskazując na jakieś malowidło, wiszące na ścianie—to pole pokryte trawą... tu i owdzie bydełko... tam w głębi las... gdyby do tego dodać jeszcze noc, księżyc... ach! pan dobrodziej musisz być wielkim wielbicielem sztuki malarskiej?

— Lubię malowidła... ale nie rozumiem, w jakim to jest związku z szarem mydłem, po które pan tu przybyłeś?

— O panie — mówił Alfred, nie dając się niczem zrazić, spodziewając się, iż lada chwila nadejdzie Eleonora i rozmowa się ożywi—Wszystko to jest wyrazem oświaty i cywilizacyi. Mylne są zdania jakoby tylko dzieła sztuk pięknych i literatury były wyrazem postępu ducha ludzkiego. O tak! mylne, powiadam panu dobrodziejowi...

— Może pan raczysz przejść do sklepu — przerwał pan Kalasanty. — Aurelio, poświeć panu!

Aurelia, świadek tej rozmowy, dusząc się od śmiechu wzięła świecę, stojąc w pogotowiu.

Pan Alfred ciągnął dalej z udanym zapałem:

— O tak! mylne; bo czyż wynalazki i odkrycia mają stać na najniższym plânie?! Ręczę panu dobrodziejowi, że gdyby statystyka zajęła się obliczeniem produkcyi mydła szarego i świec łojowych każdego kraju, a następnie cyfry ztąd otrzymanę zestawiła z sobą, to jeden taki wykaz dawałby nam pewną miarę stanu cywilizacyi każdego kraju...

Odejdźmy—pomyślał sobie pan Kalasanty—Widoczna, że waryat; nagada się, a potem wyjdzie. — Uważał jednak za stosowne rozkazać Aurelii, by pilnowała, żeby czego nie potłukł.

— To pewna, że u Eskimosów, Lapończyków, Hotentotów i t. p. nie znają szarego mydła. Takie barbarzyństwo w XIX. wieku!

Gdy Alfred domawiał tych słów, Kalasantego już nie było.

VII.

Spisek.

— Wyszedł, tem lepiej — zawołał Alfred — Aurelio, ani słowa, że mnie znasz; odpowiesz wtedy, kiedy ci każę.

— Jakże mam się przyznać do znajomości z panem hrabią — odpowiedziała Aurelia spuszczając oczy — coby ludzie sądzili o mnie.

— Och! uosobiona skromności!

— Bardzo proszę.

— Aleś strasznie pobrzydła.

— Komplement grzeczny.

— Ale prawdziwy; i nim resztki twych wdzięków zwiędną, radziłbym ci złapać jakiego chłopca.

— O już jest — odpowiedziała Aurelia uśmiechając się.

— Któż?

— Stróż tutejszego domu, Paweł.

— Któżby mógł sądzić, że ideałem miłości może być stróż?

— Ideałem nie jest, ale cóż mam robić? Trzeba raz wydać się za mąż; a powtóre dom ten dla mnie jest niebezpiecznym, pan Rzeszotko...

Aurelia nie dokończyła, spuściwszy oczy i zarumieniwszy się.

— Wiem, wiem o tem, słyszałem, i właśnie jest mi to na rękę. Odpowie mi za to ten stary mydlarz!

— Ale pozwoli pan hrabia zapytać się, po co tu pan hrabia tak dziwnie wpadłeś, pewnie panna Eleonora...

Tu Aurelia pogroziła figlarnie palcem na nosku, co jej było bardzo do twarzy.

— Zgadłaś, ale nie oto teraz chodzi...

— Oj! figlarz z pana.

— Powiedziałaś, że odzwierny kocha się w tobie?

— Gdzie tam kocha się! od tak niby chce się żenić, niby nie... zwleka...

— Bądź spokojną, jest na to środek, trzeba go uczynić zazdrośnym...

— Kiedy to mazgaj.

— Tem lepiej, da z sobą zrobić co kto zechce, ludzie tego rodzaju to jak wosk.

— A dobrzeby to było.

— Otóż posłuchaj: panny Eleonory teraz nie ma w domu, stary Rzeszotko będzie korzystał z jej nieobecności i rozpocznie swoje karesy z tobą.

— Cóż pan hrabia myśli sobie o mnie?!

— Oho! wdowcy są niebezpieczni; są to stare rozłakomione dzieci, wzdychają ciągle do Edenu, którego zakosztowali; o wierzaj mi, oni są niebezpieczniejsi, aniżeli młodzież.

— Ma racyą; trzeba go posłuchać, pomyślała sobie Aurelia.

— Otóż — ciągnął dalej Alfred — zawołasz Pawła, wsadzisz go pod stół albo do szafy, lub gdziekolwiek, taka lalka nawet do szuflady dałaby się zamknąć, a kiedy karesy starego Rzeszotki rozochocą Pawła, bo to widzisz miłość to jak magnetyzm, udziela się tym, którzy na nią patrzą—to ręczę ci, że twój narzeczony z zazdrości natychmiast się z tobą ożeni.

— Dobrzeby to było.

— Ale poczekaj, jeden warunek: Paweł jako rywal musi wyzwać starego mydlarza na pojedynek.

— A jeźli zginie?

— Nie obawiaj się, do pojedynku nie dojdzie, bo obaj tchórze, a ja i ty na tem wygramy.

— Dobrze, zgadzam się.

— Otóż dasz znak Pawłowi, gdy już będzie siedział pod stołem — ot tak, kopniesz go nogą, jeźli sam wprzód nie wylizie, a wtedy nastąpi wyzwanie ze strony twego narzeczonego, jako rywala.

— To będzie śmiesznie; idę po niego.

Poczekaj! mam cię stary mydlarzu — zawołał Alfred po wyjściu Aurelii—nauczę cię grzeczności, skoro będę cię miał w swych rękach. Kocham Eleonorę, ale wdzieram się do tego domu, tak jak chcę się dostać do jej serca. Pragnę, by mnie pokochała nie jako hrabiego Cnotlikiewicza, ale jako biednego nieznanego Apstrifikultifikiewicza, któryby jej nic prócz miłości swej u nóg złożyć nie mógł. Urok mego imienia, majątku, wreszcie powab mej karety ba! nawet i koni, działa na serce próżnej kobiety. Ja pragnę miłości, dla miłości samej. O! Eleonoro, jeźli mnie nie zawiedziesz, będę najszczęśliwszym z ludzi!

W tej chwili pan Alfred był bardzo poważnym.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika.

Stary świat kruszy się, wywraca i pada; wszystko — do czegośmy nawykli, cośmy szanowali i kochali, albo już leży na ziemi zdeptane, lub obala się i druzgoce... i my jesteśmy jak cegły tej budowy przeznaczeni na rozsypanie w gruzy... Nowi ludzie, idee, zasady, państwa... jeszcze chwila, a kamień nie zostanie na kamieniu. Mniejsza o materyalne ruiny, ale skarbów naszych i świętości, którym ze śmiechem szyderskim wyprawiają stypę bezduszne katy — o! nieopłakany żal i szkodą... W tej chwili uroczystej zgonu jednego świata, narodzin drugiego, pióro wypada z ręki, chce się raczej umierać niż pisać. Nawet tu w Niemczech, gdzie tradycyonalnie psuto papieru bardzo wiele, a pisano bez miary i końca, w tej chwili głuche panuje milczenie... Wszyscy zdają się zasłuchani, rychłoli grom i huk oznajmi walenie się wielkiego państwa, które na czele cywilizacyi europejskiej szło przez długie wieki. Aliści hetman ów rycerstwa chrześciańskiego zgrzybiał, zbroje się na nim popadały, zardzewiał miecz, spadł hełm, zbladła chorągiew, i zdrętwiałego wzięli wrogowie... Magnae nationis umbra! Jeszcze chwila, a trąba pruska oznajmi może światu, że na jej odgłos padły mury Jerychonu... Chwila to strasznej żałoby — berło moralnego panowania z rąk namaszczonych przechodzi w krwawe podbójców dłonie... zmalały wszystkie sprawy przy tej jednej, zbladły wszystkie żałoby.

I na naszym też światku daje się czuć oddźwięk tej wojennej wrzawy, i u nas stoją warstaty, ludzie z założonemi rękami patrzą w dal... nie czyni się nic, bo w przyszłości nic nie widać. Przy tylu stratach, Niemcy pocieszają się karykaturami Kladderadastcha i mnogiemi innemi, razem z mappami teatru wojny, poprzylepiąnymi u okien wszystkich składów. Bohaterem ich jest Napoleon, którego już zdawna rysownicy Kladderadatscha nauczyli się doskonale przedstawiać z poważnoszyderską miną mistrza-kuglarza w rozmaitych rolach. Pewien rodzaj politowania czy poszanowania większą część rysowników wstrzymuje dotąd od napaści na cesarzowę i bezbronne dziecko. Za to Europa nieszczęśliwa zawczasu przez fantazyjnych planistów kraje się codzień inaczej i przetwarza tak, aby raz przecie pokój i szczęście w niej zakwitły niezamącone niczém. Widzieliśmy już podobnych metamorfoz karty europejskiej kilka... Główne operacye odbywają się na samem siedlisku

choroby i w żołądku staruszki, który stanowią Niemcy. Po polsku zwano żołądek gospodarzem; otóż on dziś długo detronizowany przez głowę i serce, przyjść chce do władzy i uczynić w całem ciele porządek. Środek mappy zajmują rozprzestrzenione Niemce, na których śladu niema dawnych ich podziałów... dokoła opasane są dla bezpieczeństwa małemi państewkami, które naturalnie ich wpływom ulegać i kłaniać się im muszą. Po za tym wałem drobnych kraików inne państwa ostały się prawie tak jak były. Nie potrzebujemy dodawać, że jednę część tej cyrkumwalacyi stanowi skromna, maleńka Polska, mająca nawet drzwiczki do wyjścia na świeże powietrze od morza między Labiawą a Memlem... Czegoż więcej żądać? Chyba jakiegokolwiek prawa, któreby zabezpieczało, że co dziś może być dane, jutro nie będzie mogło być odebranem. Są pessymiści, którzy przypatrując się temu stanowi rzeczy, pocichu szepcą, że duch zdobywczy pracuje bezwiednie na korzyść przyszłych Stanów zjednoczonych... bo tylko one raz na zawsze spokój i prawa wszystkich zapewnić mogą. Ubytek Paryża w literaturze, w teatrach, w handlu, w modach da się czuć światu dotkliwie. Berlin myśli już o wymyśleniu niemieckich mód na przyszłą zimę, ale dotąd jeszcze nie wpadł na żadną płodną ideę. Jeźli z modą tak trudno, cóż dopiero będzie z innymi fabrykatami paryzkimi, które świat karmiły? Wprawdzie cognac z wina reńskiego już zaczynano pędzić, ale mówią, że tego roku niedojrzałe grona pojedli tak żołnierze, iż nawet ich na wino nie stanie. Szampana w Epernay i Rheims ubyło także znacznie dla amatorów, gdyż zwycięzcy go sobie nie żałowali dla nabrania sił i humoru. Co się tyczy literatury wiadomo, że V. Hugo aspiruje co najmniej do teki ministryalnej, nie napisze więc ani Tragaldabasa ani nowej Legendy. About jeszcze kozy wydéchać nie może, a kilku najsławniejszych feljetonistów leży w łóżku, spróbowawszy kampanii, która się im jak innym nie powiodła. Jeźli teatra niemieckie skrupulatnie wyrzucą wszystkie tłumaczenia z francuzkiego, naśladowania z francuzkiego, przerobienia i pożyczki bezprocentowe, co zostanie? nie wiemy. Natan jest bardzo piękny, równie jak Intryga i Miłość, ale codzień niemi się karmić nie można, a nawet z pani Birchpfeifer dużo wypadnie oddać Francyi. Tak z tej gallofobii może wypaść, iż wiele rzeczy, do których się nawykło, zabraknie. Słychać nawet, że język francuzki ma być z dyplomacyi i międzynarodowych stosunków wygnany, a między warunkami pokoju znajduje się wyrzeczenie mowy tej a przyjęcie niemieckiej, której tak samo uczyć będą w Paryżu, jak rosyjskiego języka w Warszawie. Dlaczego by sobie tego nie miano pozwolić? Dla ułatwienia zaś przejścia do języka Goethego i Schillera, zapewne jak w Strasburgu spaloną też będzie wielka biblioteka w Paryżu, na co parę bomb z petrolem dobrze pokierowanych wystarczyć może...

Sen to czy jawa? jesteśmyż w roku łaski Bożej 1870 czy 1270? doprawdy rozwiązać to trudno. Na co się zdały stosy ksiąg napisanych o prawach ludów i narodów, o braterstwie i swobodzie? o cywilizacyi i ułagodnieniu człowieka a tchnieniu ducha chrześciańskiego w społeczeństwo?... Postęp jeźli jest jaki, najwidoczniejszy w iglicówkach i pikracie, w nich ostatnie słowo mądrości ludzkiej.

Przebaczcie mi, że pod wrażeniem wypadków inaczej pisać nie umiem i nie mogę. Książki nie ma nowej na lekarstwo, i niktby się też o nią nie spytał. Mylę się... parę dawniej drukować poczętych, teraz dokończonych wyszło po cichutku. Najprzód poezye autora Termopylów, których tytuł Z ponad mogił doskonale przypada do r. 1870... potem również anonyma a raczej pseudonyma: Sceny z życia litewskiego. O pierwszej z nich odezwały się już głosy pochlebne, jest to bowiem wielce oryginalnego kroju i pomysłu zbiorek, który własnym głosem, z innego tonu niż te, w któryśmy się wsłuchali, nuci o bohaterskiej przeszłości. Sceny z życia litewskiego są z natury schwycone, ale nie z dzisiejszej; sięgają one aż 1812 r. Książka ta zdradza wcale nie początkującego pisarza, rzekłbyś Chodźko redivivus. Lenartowicza Echa nadwiślańskie, przygotowane do druku, wojna wstrzymała. Kto dziś u nas czyta? słuchamy wszyscy... zbroje chrzęszczą... Wiele innych, już mających pod prasę iść nowości, odłożono do czasu szczęśliwszego. Wszakże Niemcy nam dają przykład, bo i Lipsk i Berlin nic prawie nie wydają, oprócz odświeżonych mapp i kilku broszur, których nikt nie czyta. Gutzkowa tylko Pojedynek Emski doczekał się sam jeden aż dwojgu wydań. O tem wiedzieć musicie, że Auerbach i Freitag byli w głównej kwaterze wojsk zwycięskich... Tylko co nie widać wrażeń ich zebranych na tych polach, na których w dnie szczęśliwe można było—co rzadko—widzieć na raz po pięćdziesiąt tysięcy nieboszczyków w najrozmaitszych pozycyach. Co za studyum dla malarza!

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(To szpieg!) Jeden z dzisiejszych fejletonistów francuzkich opowiada następujące zdarzenie:

„Spólnik domu Lalaubeyre wziął mnie pod ramię i odciągając na bok rzekł: — „Chodź pan, mam panu coś powiedzieć.“ — „Służę panu“ — odrzekłem. — „Czy znasz pan tego jegomości, z którym właśnie rozmawiałeś?“ — „Kogo? pana Maugis? Rozumie się!“ — „Czy znasz go pan bliżéj?“ — „Tak jest“ — „Kiedy tak, to muszę panu poradzić po przyjacielsku: unikaj pan jego towarzystwa.“ — „Mam unikać towarzystwa Maugisa?“—powtórzyłem zdziwiony.— „Tak jest.“— „I dlaczegożto?“ — „Nie pytaj pan dalej...“ — „Ale przecież, gdyż trudnoby mi było unikać go. On przechodzi co wieczora do kawiarni, w której bywam, i od dwóch lat grywamy obadwaj regularnie partyą pikieta.“ — „Tego się właśnie obawiałem“ —mruknął spólnik domu Lalaubeyre. — „Wytłumaczże się pan bliżej; czy mu co zarzucają?“ — „To zależy od sposobu widzenia rzeczy.“ — „Ależ pan bierzesz mnie na torturę; mów pan wyraźniej,“ — „Więc pan żądasz tego?“ — „Zapewne!“

Spólnik domu Lalaubeyre spojrzał lękliwie dokoła i szepnął mi kilka słów do ucha. — „On? To być nie może!“ zawołałem. — „On sam!“ — „Zkąd znowu? Maugis, taka uczciwa twarz, taka ujmująca powierzchowność, taka serdeczna mowa!“ — „Właśnie tem sprawiają ci ludzie tém większe złudzenie.“—Ale czyś pan pewny tego?“—„Najpewniejszy!“— „Może panu fałszywie doniesiono?“ — Spólnik domu Lalau-

beyre dodał tajemniczym tonem: „Mąm tę wiadomość od szefa bióra prefektury. Widzisz pan tedy, że nie ma żadnej wątpliwości.“ — „Komuż teraz ufać jeszcze! Maugis!“ — „Jesteś pan więc ostrzeżony. Żegnam pana.“ — „Za pozwoleniem, jeszcze słówko. Dałbym chętnie 25 napoleondorów, gdybym nie wiedział o tem, co mi pan właśnie powiedziałeś.“ — „Uczyniłem to w interesie pana.“ — „Jestem panu za to wielce obowiązany, ale mimo to w niemałym kłopocie. Co począć teraz?“ — „To rzecz pana.“ — „Maugis przedstawiał mi się zawsze jako mąż zacny...“ — Ha — no, jeśli to pana nie razi...“ — „Panie!“ — „I takie zakłady muszą istnieć... I one są pożyteczne w swoim rodzaju...“ — „Ani słowa więcej!“

Spólnik domu Lalaubeyre skłonił się z uśmiechem i powrócił do swego towarzystwa. Ja stałem przez kilka chwil nieruchomie, nadzwyczaj przerażony i zdumiony tą szczególną wiadomością. Ale nie mogłem się wahać; spólnik domu Lalaubeyre wskazał mi wyraźnie drogę... musiałem unikać Maugisa. Nie była to jednak rzecz łatwa. Nazajutrz zrana, gdy Maugis spostrzegł mię w kawiarni, powiedział mi uprzejmie: Dzień dobry. Udałem, że nie słyszę tego. Potem podał mi rękę; ja moje wtył założyłem. Spojrzał na mnie zdziwiony; ja odwróciłem się i odszedłem. W pół godzinę poźniej stanął przedemną. — „Czy zagramy partyą pikieta?“ zapytał. — „Nie.“— „Pan jesteś bardzo lakonicznym dzisiaj; co panu brakuje?“ — Nic.“ — „Idziesz pan już?“ — „Tak jest.“ — „Odprowadzę pana.“ — „Nie idę tą drogą co pan.“—Zagryzł usta, zamyślił się i odszedł wkońcu ruszając ramionami.

Po kilku dniach poznał już Maugis dość wyraźnie, co o nim myślę. Chciał jednak przekonać się o tem zupełnie, i pewnego dnia zastąpił mi śmiało drogę.

— „Postępowanie pana jest od jakiegoś czasu niepojęte“— przemówił drżącym głosem — „i zobowiązałbyś mnie wielce objawieniem przyczyny.“ — „Ja nie mam panu nic do powiedzenia“—odrzekłem.—„Pan okazujesz mi więcej niż oziębłość, mój panie; czy miałbym pana mimo wiedzy obrazić? Jeszcze raz pytam pana: zkąd ta nagła zmiana?“ — „Pan musisz to wiedzieć“ — rzekłem patrząc mu ostro w oczy. — „Niech mnie piorun trzaśnie, jeźli mam choć wyobrażenie o tem“. — „Rozłączmy się, panie Maugis“—rzekłem wymawiając dobitnie każdy wyraz—„nasze sotsunki trwały już dość długo.“ — „Ależ przyczyna, przyczyna!“ — „Zapytaj pan o nią swoje sumienie.“— „Pytałem je, pytam jeszcze raz, ale nie znajduję nic, zgoła nic.“ — „Dajmy temu pokój; ja nie chcę, żebyś pan się rumienił przedemną.“—„Rumienił, z jakiego powodu?“ — spytał Maugis prawie odurzony. Obejrzałem go od stóp do głów i odwróciłem się. On chwycił mnie za rękę. — „Tego już za wiele“ — rzekłem wyrywając się; — „od dzisiaj nie znam już pana.“ — „Mniejsza o to, idź pan do czarta!“ — zawołał z oburzeniem;—„ale muszę panu powiedzieć, żeś pan śmieszny dziwak!“

„Śmieszny dziwak!“ Za takie słowa byłbym każdego innego... ale takiego Maugisa! Dotąd sądziłem, że powinienem mieć litość nad nim ze względu na dawniejszy nasz stosunek; spodziewałem się, że moje postępowanie przywiedzie go do rozumu; ale teraz oburzała mnie bezczelność jego i musiałem go ukarać największą wzgardą. Pewnego razu na publicznej uczcie umieszczono jego talérz obok mojego dla wyświadczenia mi grzeczności — ale ja powstałem natychmiast i zmieniłem miejsce jak można było najwidoczniej. Bóg wié, dlaczego chciałem koniecznie poróżnić się zupełnie z Maugisem; ale zdawało się, że przypadek uwziął się na niego i sprowadzał go ciągle na moję drogę. Tak dowiedziałem się, że zamierza zaślubić dziewczynę, której rodzice byli mi dobrze znani i posiadali powszechny szacunek. Tą razą błogosławiłem przypadkowi, który mi dozwalał przeszkodzić haniebnemu związkowi. Byłbym sam sobą pogardzał, gdybym był nie przestrzegł tej zacnej rodziny. Prosiłem o rozmowę z matką i oznajmiłem jej z zastrzeżeniem tajemnicy, co mi powiedział o Maugisie spólnik domu Lalaubeyre. Słuchała zdumiona i dziękowała mi jak najgoręcej. Nazajutrz otrzymał Maugis odprawę. Ale zmiarkował, kto mu się przysłużył; widział mnie w tym domu i zwietrzył prawdę. Przyszedł do mnie z dwoma przyjaciółmi swoimi. Blady jak trup, z zaciśniętemi pięściami przystąpił do mnie: „Nie wiem — rzekł — co pan powiedziałeś lub zrobiłeś w domu N., ale uważam pana za najprzewrotniejszego łotra!“ — Krew uderzyła mi do głowy, ale miałem dość władzy nad sobą, ażeby się nie zapomnąć. — „Oto mój bilet — dodał — weź go pan, jeżeli nie chcesz, abym ci go w twarz rzucił.“ — „W istocie“ — rzekłem z pogardliwym uśmiechem—„człowiek taki, jak pan, musi mieć także bilety.“— Nie pojął mnie, a może zrozumiał fałszywie, gdyż dodał z groźną postawą: „Przyrzekam panu kulę w łeb lub pchnięcie w samo serce!“ — „Pojedynek?“ — zawołałem śmiejąc się. — „Pan wiesz bardzo dobrze, że z panem bić się nie można.“ — Maugis stał nieruchomie, z osłupiałym wzrokiem, jak gdyby skamieniał. Ale nagle ocknął się z swego odrętwienia, przyskoczył do mnie i chwycił mnie za gardło. Rozłączono nas... Obadwaj przyjaciele jego oświadczyli mi, że nazajutrz przyjdą znowu. Ale naglący wypadek zmusił mnie opuścić Paryż jeszcze tego samego wieczora, i nie wróciłem aż po kilku latach. Zresztą nic w świecie nie byłoby mnie skłoniło do pojedynku z Maugisem; byłbym pozostał nieubłaganym. Pozostawiłem jego przyjaciołom list, w którym przedstawiłem im otwarcie powody mojego postępowania. Czy pokazali oni ten list Maugisowi? o tem nie dowiedziałem się nigdy. Wiem tylko, że wywołany tem zdarzeniem wybuch wściekłości wtrącił go w chorobę mózgową, z której już się nie opamiętał. Człowiek ten, niegdyś tak wesoły, zawsze uśmiechający się, stał się posępnym odludkiem. Widziano go, jak nieraz po całych godzinach siedział w kawiarni sam, niemy, z oczyma utkwionemi w dziennik, którego jednak nie czytał. Gdy go kto zagadnął, drżał na całem ciele i odpowiadał cicho. Na ulicy przesuwał się z niespokojnym wzrokiem popod same kamienice i unikał wzroku przechodzących. Obudzał się z swego letargu tylko wtedy, gdy kto wymienił moje nazwisko, ale też zaraz potem wpadał w wściekłość. W końcu wyjechał do Ameryki.

Zeszłego lata uwiadomił mnie list przyjaciela o nieprzewidzianej śmierci spólnika domu Lalaubeyre. Wiadomość ta dotknęła mnie mocno. Spólnik domu Lalaubeyre popełnił tę nieroztropność, że po dobrem śniadaniu poszedł się kąpać do rzeki Morne. Nogi jego zaplątały się w pokrzywce, i utonął. Pomoc przybyła za poźno. Był to miły człowiek; cały świat

*

go żałował. „Miał tylko jednę wadę — dodał mój korespondent — a ta była, że lubił drugich wyprowadzać w pole. Jednym z najokropniejszych żartów jego, którego skutki mogły być niesłychanie przykre dla niewinnej ofiary mistyfikacyi, był ten, że nie wahał się o pierwszym lepszym człowieku mówić: To szpieg tajnej policyi.“ — Niechże mu Bóg tego nie pamięta!

(Zkąd do nas przychodzi cholera, i co dla jej powstrzymania uczyniono?) Klęska cholery, zbyt często nawiedzająca kraje Europy, pobudziła wszystkie umysły do szukania środków, mogących postawić stanowczą zaporę coraz bardziej szerzącemu się zniszczeniu, dokonywanemu przez nią. Zwrócono się najprzód do medycyny; zdawało się bowiem, że ta w głębiach nauki, wpośród cudownych odkryć i wynalazków, z łatwością dopatrzeć zdoła środka, mogącego obezwładnić groźne siły nie znanej dawniej w Europie choroby; z żalem wszakże wyznać nam przychodzi, że pomimo wszelkich usiłowań, głębokich badań i bystrych poglądów, wszystkie podawane dotąd przez lekarzów sposoby nie zdołały powstrzymąć i opanować tej prawdziwej plagi społeczeństwa. Wyznaczona już przeszło od lat dziesięciu przez Bréanta ponętna nagroda, w kwocie 100,000 franków, dla lekarza, którego środki leczenia cholery lub jej powstrzymania Akademia francuzka uzna za pewne i nieomylne, dotąd nikomu przyznaną nie została!..

W takim stanie rzeczy postanowiono dotrzeć do samego źródła złego i u niego szukać sposobów mogących je powstrzymać, lub przynajmniej zmniejszyć jego działanie. Komisya międzynarodowa, złożona z członków różnych krajów, dąży obecnie do wprowadzenia w wykonanie środków, mogących stawić zaporę cholerze na zwykłej jej drodze z Indyi i Arabii do Europy. W tym celu władze angielskie zwracają baczną uwagę na pielgrzymów udających się do Mekki; powiększono nadzór nad okrętami, przewożącymi podróżnych z Dżeddah i Mekki, nadto we wszystkich portach morza Czerwonego ustanowiły rządy turecki i egipski oddzielne bióra, których obowiązkiem jest donosić natychmiast o pojawieniu się cholery, w celu przedsięwzięcia stosownych środków ostrożności. Wszystko to wszakże byłoby bardzo mało znaczącem, gdyby nie starano się powstrzymać epidemii w głównem jej siedlisku, a tem jest dolina Miny położona niedaleko Mekki.

Do grobu Proroka dążą corocznie tłumy wyznawców islamizmu lądem i morzem z trzech części świata, aby oddawszy cześć jego prochom, powrócić szczęśliwie do domów, lub umrzeć na ziemi świętej. Cel tych corocznych pielgrzymek w zasadzie swojej przedstawia się w bardzo pięknych kolorach, przewodniczy tu bowiem głównie idea religii mahometańskiej; lecz droga do niego wiodąca zgubne za sobą prowadzi następstwa.

Mekka otoczona jest mnóstwem dolin, z których najznaczniejsza wspomniana Miny; tu gromadzą się tłumy pielgrzymów w liczbie dochodzącej niekiedy do 200,000; w czasie krótkiego tu pobytu, zdrowie ich i życie wystawionem zostaje na najcięższe próby. Ogniste słońce Arabii, niedostatek wody, a częstokroć i żywności, brak właściwego urządzenia czasowych mieszkań, nieporządek i nieochędóstwo, do najwyższego posunięte stopnia, pozostawianie szczątek zwierząt na ofiarę zabijanych bez przykrycia ich ziemią, — w skwarnym tym klimacie dawało zwykle początek wielu chorobom, wpośród których najstraszniej srożyła się cholera. Doświadczenie przekonało, że nawet wtenczas, gdy zarodki epidemii przybyły z pielgrzymami z Indyi, tu ona dopiero nabierała siły i gwałtowności, a przeniosłszy się do Europy największe szerzyła zniszczenie.

Podług raportu Dra. Fauvel, zakomunikowanego Akademii medycznej w Paryżu, poczyniono we wspomnianych dolinach wszystko, co tylko zmierzać może do zachowania zdrowia i życia pobożnych wędrowców; w tym celu oczyszczono dawne kanały, doprowadzające wodę i wykopano mnóstwo nowych; urządzono doły, w które wzrucone szczątki zwierząt ofiarnych przesypywane są wapnem; przeprowadzono wreszcie rowy i ścieki do oddalenia nieczystości, a dobre następstwa środków tak prostych i mało kosztownych okazały się w roku przeszłym. Wypadek niesłychany: w czasie trzydniowych uroczystości religijnych cholera wcale się nie pojawiła, a na 110,000 zebranych pielgrzymów zmarło tylko 40. Zdziwieni Mahometanie poznali dobroczynne następstwa hygienicznych urządzeń, wprowadzonych przez ich rząd na przedstawienie komisyi międzynarodowej.

Cieszyć się możemy z dobroczynnych następstw, jakie wydały usiłowania rządów, zmierzające do powstrzymania cholery w głównem jej ognisku; jednakże podług opinii P. Fauvel, wszystko co dotąd zdziałano, nie jest jeszcze wystarczającem do stanowczego uniknienia złego; pozostała bowiem jeszcze bardzo szeroka droga, prowadząca swobodnie epidemię do nas. Jest nią Egipt; stosunki handlowe tego kraju z jednej strony z Europą, z drugiej z Azyą, stawiają go w tych przykrych warunkach. Chcąc działać stanowczo, należałoby wzbronić stosunków pielgrzymom z Egipcyanami i nie dozwolić wpływać okrętom, wiozącym podróżnych z Mekki, do portów morza Czerwonego, aż po ścisłem zbadaniu ich stanu sanitarnego; rząd egipski jednakże pomimo przyrzeczeń z swej strony nic zadawalniającego dotąd nie uczynił w tej mierze; można wszakże mieć nadzieję, że nalegania Komisyi odniosą wkrótce pożądany skutek.

Nasuwa się tu jeszcze bardzo uzasadniona kwestya: czy kanał Suezki zbliżywszy nas do Indyi, nie ułatwia tem samem przybycia epidemii? Na to pytanie P. Fauvel odpowiadą przecząco, utrzymując, że okręty płynące wprost z Indyi pod tym względem nie przedstawiają wielkiego niebezpieczeństwa, cholera bowiem powstaje i rozwija się w najuboższej klasie Indyan, nie wydalającej się nigdy po za granice swojego kraju.

(Małżeństwa w Egipcie.) Krajowscy egipscy, którzy jak wiadomo składają się z Koptów i Moslemitów, mają pod względem zawierania małżeństw rozmaite zwyczaje; w jednym punkcie jednak zgadzają się ze sobą, a ten jest właśnie największą przeszkodą wychowania i cywilizacyi. Jestto mianowicie zwyczaj zawierania małżeństw w bardzo młodym wieku, i chrześciańscy Koptowie nie ustępują w tym względzie Mohametanów, a jak niektórzy utrzymują, nawet ich przewyższają. To pewna, że tak u jednych jak i u drugich wychodzą dziewczęta za mąż już w jedynastym roku, a niekiedy nawet

w dziewiątym, chociaż to rzadziej się zdarza; w przecięciu zaś można rok dwunasty i trzynasty uważać jako zwyczajny. Prawda, że na wschodzie dzieci nieco wcześniej dojrzewają, niż w Europie; ale różnica nie jest przecież tak znaczna, jak to powszechnie przypuszczają, i dziewczyna egipska w dwunastym roku jest tak co do wykształcenia fizycznego jak i umysłowego równie niezdolna do objęcia steru rodziny, jak dziecię europejskie w tym wieku. Młoda żona zostaje zwykle całkiem pod kierownictwem świekry, która częstokroć w pierwszych latach małżeństwa skazuje ją do usług niewolniczych. Jestto zwykle smukła, zgrabna, maleńka istota, o pięknych czarnych oczach i zdrowych białych zębach. Jej rysy są zwyczajnie nieregularne, a cera rozmaita, od najjaśniejszej aż do ciemno-brunatnej. Co do powierzchowności i zwyczajów jest młoda kobieta egipska klas niższych bez wyjątku brudna, niechlujna, wrzaskliwa w radości, a opryskliwa, jeźli jest w złym humorze. Natomiast odznacza się ona pewną, swej rasie właściwą grzecznością, a przytem jest najczęściej łagodna, tkliwa i przystępna uczuciu przyjaźni; słowem, jestto prawdziwe dziécię natury, bez wykształcenia i bez ogłady. Zwyczaje małżeńskie Koptów mają zawsze jeszcze wiele podobieństwa z dawnymi zwyczajami żydowskimi. Najciekawszą ich częścią jest nocna procesya, z jaką grono przyjaciół i krewnych odprowadza do domu małżonka pannę młodą, świetnie przystrojoną, zwykle w bieli, złotem i mnóstwem klejnotów okrytą, których większa część bywa pożyczana (nawet z kościołów); mężczyźni niosą przytem wszyscy świece woskowe, a dwaj z pochodniami i bandą muzyczną rozpoczynają pochód. Kobiety, z wyjątkiem młodych drużek, pstro wystrojonych, okryte są wszystkie czarnymi płaszczami; ale jaskrawe barwy w ubiorach mężczyzn i światła, które oświecają dziwaczne, stare budynki ciasnych ulic, przedstawiają bardzo malowniczy i ciekawy widok, szczególnie dla Europejczyka. U Mahometanów odbywają się zaślubiny we dnie i to w najgorętszej porze dnia; i jeźli to jest właśnie lato, które zajmuje większą część roku, można sobie wyobrazić, jaka to męka dla panny młodej, która nieraz jest dzieckiem jeszcze, gdy musi kilka godzin wlec się krok za krokiem i zatrzymywana co pięć minut skwarnemi ulicami, ubrana w ogromny, szkarłatny szal, który zarzucają jej na głowę tak, że zakrywa jej twarz i całe ciało i prawie oddychać jej nie dozwala. Ale duma dodaje nawet dziecku siły do znoszenia tych trudów, gdyż być panną młodą, jest dla dziewczyny na wschodzie najwyższym celem życzeń. Ale niestety tryumf ten trwa bardzo krótko, gdyż młoda żona nie jest zwykle niczem innem, tylko niewolnicą swego męża, który — jeźli nie jest bogatym — skazuje ją w tym delikatnym wieku do najcięższych robót, przewyższających częstokroć o wiele jej siły fizyczne; a zdarza się też bardzo często, że pan mąż za najmniejszą nawet rzecz bije i znieważa biedną żonę. Ale i na tem jeszcze nie koniec. Nierównie większem złem, zwłaszcza u ludności moslemickiej, która jednak stanowi większość, jest to, że małżonek może z największą łatwością otrzymać rozwód. Mężczyźni klasy niższej biorą zwykle tylko jedną żonę, gdyż utrzymanie haremu jest bardzo kosztowne; ale rzadko kiedy poprzestają długo na jednej; i przy łatwości rozwodu zdarza się bardzo często, że jeden mężczyzna miewa w przeciągu kilku lat po sześć do ośmiu żon. Niedola też, jaką pociąga za sobą ten stan rzeczy dla żeńskiej części ludności, jest nie do opisania, tem bardziej, że taka rozwiedziona mężatka, przy szybkiem przekwitaniu kobiet na wschodzie, nie ma prawie nigdy sposobności wyjść powtórnie za mąż.

(Oryginalna wystawa.) Podczas gdy męzcy potentaci europejscy myślą tylko o manewrach i wystawach wojskowych, wpadła królowa angielska na oryginalny pomysł: urządziła w muzeum w Kensington wystawę — wachlarzy i i wyznaczyła 10,000 fr. nagrody za najpiękniejszy wachlarz.

Cóż mogłoby być bardziej zajmującem dla płci pięknej nad wystawę tych powabnych, maleńkich narzędzi kokieteryi? I nic też dziwnego, że tę wystawę zwiedzają damy bardzo pilnie, gdy tymczasem mężczyźni przypatrują się naturalnie z uszanowaniem tej niebezpiecznej broni niewieściej, którą pewien uczony mąż nazwał berłem świata.

Wystawa ta jednak nie jest bynajmniej spekulacyą przemysłową, ani też została urządzona na to, ażeby zachęcić fabrykantów, chociaż królowa angielska zajmuje się z szczególniejszem zamiłowaniem wachlarzami i pragnie angielskimi wyrobami przewyższyć francuzkie, a przynajmniej postawić je na równie z tymtymi.

Wszystkie znakomitości żeńskie całego świata przysłały na tę wystawę swoje najpiękniejsze wachlarze, i wystawiono je w ozdobnych pudełkach szklannych na czarnych tablicach. Była cesarzowa francuzka wystąpiła z 30 wachlarzami, z których jeden malowała księżna Matylda, a inny księżna Reuss. Małżonka pruskiego królewicza przysłała wachlarz z widokami Berlina, Windsoru, Koblencyi i Babelsbergu. Dalej widzieć tam można wachlarze Maryi Antoniny, pani Pampadour, pani Montespan, rozmaitych dam paryskiej arystokracyi, jak n. p. pani Rothschild, Morny i t. d. Słowem cała wystawa okazuje, że damy wielkiego świata z szczególnym zapałem wystąpiły do walki.

Przy tej sposobności dowiadujemy się też z katalogu tej wystawy historyi wachlarza. Według tejże znano już wachlarze w najsędziwszej starożytności, ale potem znikły one na dłuższy czas z widowni dziejów. Dopiero w wieku 14. znaleziono je znowu we Włoszech, a to na przepaskach portretów. W sto lat poźniej wprowadzono je z Chin, gdzie—jak się zdaje—znane były od początku, do Hiszpanii i Portugalii. Do Francyi dostał się wachlarz dopiero w 16. wieku, i tu doszedł do najwyższej doskonałości za panowania Ludwika XIVgo. Odtąd rzucili się francuzcy fabrykanci do wyrabiania wachlarzy, i dotąd nikt im jeszcze w tem nie dorównał.

Wiemy tedy, kto robi najlepsze i najpiękniejsze wachlarze; ale kto nosi je najpiękniej? Mimo wszelkiego uszanowania dla naszych czytelniczek musimy wyznać, że pomiędzy wszystkimi narodami należy się Hiszpankom pierwszeństwo w tym względzie. Każda Sennora musi mieć wachlarz; z nim występuje ona w salonie, na promenadzie i — w kościele nawet.

Religijny obyczaj hiszpański nie cierpi ławek w kościele; Hiszpan twierdzi, że Boga można chwalić tylko na kolanach. Otóż Hiszpanka przyszedłszy do kościoła rzuca się z gracyą na dywan, okrywający płyty marmurowe, i zasyłając najgorętsze modły do nieba w postawie napół leżącej ochładza nie-

ustannie lica swoje wachlarzem. Wciągu mszy zatem szeleszczą dokoła wachlarze, jak skrzydła motyle; i nikt się tem nie gorszy, chociaż bez wątpienia jest wachlarz jednym z najbezbożniejszych wynalazków kokieteryi, która już wiele złego narobiła na świecie.

(Mordowanie dzieci w Indyach.) Okrutny zwyczaj zabijania nowonarodzonych dziewcząt w Indyach trwa niestety ciągle jeszcze, i nie ogranicza się tylko na Radżputanie, jak dotąd powszechnie mniemano. Dziennik „Homewart Mail“, podaje w tym względzie następujące szczegóły czerpane ze źródeł urzędowych:

Już w roku 1789 natrafiał rząd w Benares na ślady tego barbarzyństwa i starał się zapobiedz mu rozmaitemi rozporządzeniami; ale te niewiele skutkowały. Pewien urzędnik w Azimgharze (w prowincyi Benares), przekonał się w r. 1836, że w okręgach radżputańskich, graniczących z Audhą, pośród ludności liczącej 10,000 głów nie było ani jednej dziewczyny. Tylko przypadkiem zrobił on to odkrycie, ale potem śledził dalej gorliwie. Pewnego razu rozmawiał z dwoma Zemindarami (znakomitymi właścicielami gruntów), i sądził, że jeden z nich jest zięciem drugiego. Roześmieli się na to, i jeden rzekł: „Czyż pan myślisz, że między nami są dziewczęta?“ Ci Radżputanie są to ludzie piękni, silnie zbudowani i niezmiernie dumni na swoję „krew szlachetną“; chcą więc, ażeby ich córki, jeżeli zostawią je przy życiu, zaślubiały tylko mężów z krwi jeszcze szlachetniejszej. Ale takie zaślubiny połączone są zawsze z ogromnymi kosztami, które mogłyby pochłonąć całe mnienie rodzin; ażeby więc uniknąć tego niebezpieczeństwa, zabijają dziewczęta zaraz po narodzeniu.

Jeszcze przed dziesięciu laty stwierdzono, że barbarzyńki ten zwyczaj utrzymywał się w 308 miejscowościach; w 26 z nich nie znaleziono ani jednej dziewczyny niżej sześciu lat; w 28 innych ani jednej niżej lat pietnastu, a małżeństw w ogóle bardzo mało. W niektórych miejscowościach nie było od niepamiętnych czasów żadnego wesela; w jednej wsi odbyło się ostatnie wesele przed 80 laty, a w niektórych innych miejscowościach prowincyi Benares nie wyszła od dwiestu lat żadna dziewczyna za mąż. Dalej obliczono, że w 20 wsiach przypadało na 329 chłopców tylko 27 dziewcząt, a w 11 innych wsiach nie było ani jednej dziewczyny. Po roku 1857 zaczęto używać surowych środków, i Tolukdarowie, t. j. właściciele wielkich posiadłości gruntowych, którzy są oraz dziedzicznymi urzędnikami, starali się również wykorzeniać ten nieludzki zwyczaj. Po części skutkowało to, po części zaś nie pomogło nic; gdyż w roku przeszłym, gdy gubernator objeżdżał północno-zachodnie prowincye, pokazało się, że w 7 wsiach radżputańskich przypadała na 104 chłopców tylko jedna dziewczyna, i że od dziesięciu lat nie było żadnych zaślubin. W 22 innych wsiach naliczono 284 chłopców a tylko 23 dziewcząt; w 10 wsiach nie zawarto żadnego małżeństwa prawie od 100 lat; w 16 innych wsiach nie wiedziano o żadnych zaślubinach, a w 9 przypadało na 70 chłopców tylko 7 dziewcząt. Smutna to rzecz zapewne; ale ma przynajmniej tę dobrą stronę, że żadna panna tam się nie postarzeje.

(Dźwięcząca wyspa.) Jezioro Manitoba (w Australii) otrzymało nazwę od małej wyspy, która wśród ciszy nocnej wydaje tajemniczy tony. Mieszkający nad jeziorem krajowcy, Ojibways, nie poważyliby się nigdy zbliżyć do tej wyspy, a tem mniej na niej wylądować, gdyż uważają ją za siedzibę Manitoby, t. j. mówiącego bóstwa. Przyczynę tych szczególniejszych dźwięków szukać trzeba w uderzaniu fal o leżące na brzegu krzemienie. Wzdłuż północnego wybrzeża sterczą krzemieniste skały, które za uderzeniem młota dzwięczą jak stal. Otóż uderzające o brzeg fale sprawiają, że poruszane wodą odłamki tych skał ocierają się o siebie i wydają tony, podobne do dźwięku dalekich dzwonów kościelnych. Zjawisko to następuje zwykle wtedy, gdy wiatr dmie od północy; a gdy już ustaje, słychać w powietrzu jakieś ciche jęki, jakby szeptanie konających. Podróżni opowiadają, że tajemnicza ta muzyka sprawia wielkie wrażenie, i zapewniają, że przebudzili się w nocy w mniemaniu, iż słyszą odgłos dzwonów.

(Wynalazek dla chirurgów.) Doktor Milio, magister chirurgii w Kijowie, wynalazł sposób oświetlania nawskróś ciała ludzkiego. Dzieje się to za pomocą elektryczności, tak że skóra i mięso stają się prawie przezroczystemi. Dzienniki petersburskie donoszą, że sławny ten chirurg miał niedawno w Petersburgu odczyt o tym wynalazku. Ażeby udowodnić trafność swojego twierdzenia, wziął kulę w gębę i puścił na swoję twarz pełny promień elektrycznego światła, przy którem można było wyraźnie widzieć tę kulę. Największą też korzyść tego wynalązku upatrują w tem, że odtąd będzie można z łatwością odkryć w ciele ludzkiem kulę, bez długiego szukania, które zawsze sprawia wielkie boleści zranionemu.

(Pióro abdykacyjne Napoleona I.) Tak nazywają Anglicy to pióro, którem Napoleon I. podpisał w r. 1814 akt zrzeczenia się tronu w Fontainebleau. W Anglii możnaby naliczyć najmniej 300 osób, które chwalą się posiadąniem tej kosztownej relikwii. Istotnie też wykazuje się każdy z tych trzystu pisemnem świadectwem marszałka w Fontainebleau, że zapłacone drogo i spoczywające w przepysznem pudełku pióro jego jest owem sławnem narzędziem, którem Napoleon nakreślił ów stanowczy podpis. Ci Anglicy znajdują się w takiem samém położeniu, jak owi 3 synowie w „Nathanie“ Lessinga z pierścieniem swego ojca; żaden z nich nie posiada prawdziwego, a każdemu zdaje się, że go ma. Prawdziwe pióro abdykacyjne zachował marszałek w Fontainableau, inwalid ze starej gwardyi, jako pamiątkę po cesarzu dla siebie, a chciwym relikwii Anglikom sprzedawał za grube pieniądze stare pióra, którémi żona jego zapisywała nazwiska głupców, którzy wszyscy, i to poufnie, ubiegali się o pióro abdykacyjne Napoleona. — Otóż jeden z tych 300 szczęśliwych, żyjący dotąd Lord Boodchaster, ofiarował za pióro, którem Napoleon III. podpisze swoję abdykacyą, ogromną sumę 4000 funtów szterlingów, ale pod warunkiem, „że pokój zostanie podpisany w Paryżu, i że ta suma będzie użyta na wsparcie ranionych w boju.“

(Wulkan Ceboruco w Mexyku), którego wybuch trwa nieustannie już od kilku miesięcy, leży pod 21° 25' północnej szerokości, a 5° 25' zachodniej długości, i wznosi się 1525 metrów nad powierzchnią morza. Krater jego nie jest okrągły, lecz podłużny, i wybucha z niego ciągle gaz i

ogień, to bokami to środkiem w miarę tego, jak zapadająca się ziemia zatyka pojedyńcze części otworu. Wybuchowi towarzyszy zawsze huk i szum, jakby gwałtownej burzy. Ogromne kamienie wylatują w powietrze; lawa bardzo gęsta spływa do głębokiego wąwozu i tworzy tam pionowy mur wysokości 500 metrów. Wysokie słupy dymu są olśniewającej białości, o zachodzie słońca zaś przybierają barwę jasno-czerwoną. Dym ten unosi z sobą masę drobnego piasku, który w pierwszych dniach spadał jakby deszcz kroplisty. Ziemia u podnóża stożka okazuje 75^0 gorąca, powietrze 25^0. Od początku 16go wieku nie wspomina kronika o żadnym wybuchu tego wulkanu, ale warstwy lawy wskazują wyraźnie trzy wybuchy, może tysiącami lat oddzielone od siebie.

(Rzeź Francuzów w Tientsinie) Mosk. Wied. zamieściły następujący list z Tientsinu zawierający ciekawe szczegóły o rzezi Francuzów w tem mieście przez Chińczyków: Piszę w pospiechu i popłochu, sprawionym przez pospólstwo tientsińskie, które wczoraj powstało przeciwko francuskim misyonarzom. Już najmniej ze dwa tygodnie było słychać o wzburzeniu pośród ludu, z powodu rozpuszczanych przez złych ludzi wieści: jakoby Siostry Miłosierdzia i w ogóle Misyonarze francuzcy kradli dzieci chińskie, zabijali je i wycinali im serce i oczy. Powodem do tych pogłosek była, jak powiadają, wielka śmiertelność pomiędzy dziećmi, którym Siostry Miłosierdzia dawały u siebie przytułek; powiadano, że niejednego dnia wynoszono nie po jednej trumience z dżentytana (domu Sióstr Miłosierdzia). Chińczycy, jak powiadano, chodzili na cmentarz najęty przez Siostry Miłosierdzia, rozkopywali tam groby i otwierali trumny. Takie były chińskie pogłoski; wzmagały się one codziennie, a zarazem wzmagało się i wzburzenie ludu. Otóż wczoraj wzburzenie to wybuchło. O godzinie 2. Chińczycy podpalili katolicką katedrę, zabiwszy przytem przełożonego katedry O. de Chevrier, a przedtem konsula francuskiego Fontanier i jego sekretarza Simona, przyczem zapalił się i konsulat francuski, stykający się z katedrą. Jednocześnie podpalono kaplicę i dom Sióstr Miłosierdzia; oprócz wyż wspomnionych zabito jeszcze kilku Francuzów i 9 Sióstr Miłosierdzia; lecz najsmutniejsze dla nas Rosyan jest to, że i tak nader nieliczne nasze towarzystwo straciło trzy osoby ze swego łona: M. N. N. M. Protopopowych i J. A. Basowa, którzy wczoraj byli na śniadaniu w Tientsinie u B-czewa i wracali do domu. Chcieli przejść przez Chodun na wschodniej stronie rzeki Bajhe, to jest przez zarzeczną część miasta, jako małoludną, lecz natrafili na straż ogniową idącą ku pożarowi katedry, a z nią wielki tłum, który będąc już w stanie podnieconym, rzucił się na nich. Ocaleni ich tragarze, z których nie dolicza się dwóch, opowiadają, że naprzód tłum zabił M. N. Protopopowową, znajdującą się w pierwszym palankinie, ściągnąwszy ją z takowego i uderzywszy ją po twarzy. Zwłoki zabitych jeszcze nie zostały znalezione, chociaż powiadają, że zostały one zakopane koło pewnej świątyni. Sądzę, że wyobrazicie sobie, w jakiem wszyscy znajdujemy się położeniu. Całą rodziną nocowaliśmy u S-wa, dlatego, że wczoraj krążyła pogłoska, jakoby wzburzony tłum zmierzał do Cy-czżu-lin, na kościół przy misyi angielskiej. Rzeczy nasze w części upakowane są w skrzyniach, w części pozostawione w mieszkaniu; w razie niebezpieczeństwa wsiądziemy na statek i popłyniemy ku południowi. Wojska nie ma wcale. Zresztą wzburzenie ustaje, wczoraj zaś lud, jak powiadają, chciał załatwić się tylko z Francuzami. Noc minęła spokojnie, ale wyobraźcie sobie, jaką była dla nas. Wszyscy jesteśmy uzbrojeni — czem można...

(Zamek Wilhelmshöhe.) Wilhelmshöhe pod Kassel, przeznaczony na miejsce pobytu cesarza Napoleona, stoi na górze, otoczony wspaniałym parkiem, w którym wodotryski, wodospady, stawy i prześliczne grupy drzew. Do zamku dochodzi się ulicą lipową, a przed zamkiem urządzony piękny ogród z najrzadszych drzew i krzewów. Za pałacem ciągną się budynki dla służby i stajnie, a dalej idą w górę przez las drogi wygodne, po większej części w skale kute, i prowadzą do nowego wodospadu 130 stóp wysokiego a 50 szerokiego; ztamtąd idzie się na lewo do świątyni Merkurego, ścieżkami zaś przez las do ośmiogranu (oktogon) na samym szczycie góry, 1312 stóp nad Fuldą. Ośmiogran składa się z trzech sklepień, jedno nad drugiem śmiało wzniesionych, najwyższe piętro wznosi się na 192 słupach 48 stóp wysokich. Ztamtąd wspaniały roztacza się widok. Przed tym budynkiem stoi kolumna 96 stóp wysoka, a na jej szczycie posąg Herkulesa farnezyjskiego 31 stóp wysoki, z miedzi kuty. W jego maczudze pomieści się 9 osób. Z pod ośmiogranu spadają kaskady dokoła, mające 900 stóp długości a 40 szerokości, przerywane sześcioma zbiornikami. Z pod oktogonu spuszczając się na prawo lasem, napotyka się w połowie drogi obok minąwszy kaskadę, zameczek Löwenburg; poniżej jest bażantarnia i obok niej chińska wioska zbudowana na wzór chiński. Przed zamkiem jest staw z wodotryskiem 190 stóp wysokim, stopę grubym, największym w całej Europie. Ztamtąd na lewo „most djabelski“, na prawo wodociąg z wysoką kaskadą. Otoczenie innego wielkiego stawu na wschód od zamku jest nader piękne.

(Głoska M) odgrywała ważną rolę w życiu Napoleonidów. Marboeuf był pierwszy, który w elewie szkoły wojskowej, w Napoleonie Bonapartem, poznał jeniusz Napoleona I.; pod Marengo stoczył wódz Bonaparte pierwszą wielką bitwę, a Melas oczyścił przed nim Włochy. Mortier był jego wiernym wodzem, Moreau zdradził go; Murat był pierwszym jego męczennikiem, Marya Ludwika towarzyszką jego największego szczęścia, Moskwa jego najgłębszą przepaścią, a Metternich pokonał go na polu dyplomacyi. Pierwszy bój jego przypadł pod Montenotte, a ostatni pod Mont-Saint-Jean; prócz tego wygrał on bitwy pod Millesino, Mondovi, Marengo, nad Moskwą, pod Montmirail i Montepeau. Medyolan był pierwszem, Moskwa ostatniem głównem miastem nieprzyjacielskiem, do którego wkroczył jako zwycięzca. Na wyspie Śtej Heleny byli Montholon i jego pierwszy pokojowiec Marchaud jego towarzyszami. Pierwszym, który go opuścił, był Murat, a potem Marmont. Egipt postradał on przez Menona, a papieża wziął w niewolę za pomocą Miollisa. Mallet uknuł spisek przeciw niemu. Trzech ministrów miało nazwiska: Moret, Montalivet i Mallien, a jego pierwszy szambelan nazywał się Montesquieu. Ostatniem zaś miejscem pobytu jego we Francyi było Malmaison.

(Największe drzewa na ziemi) rosną nie w odwiecznych lasach Ameryki, jak dotąd mniemano, lecz w Australii. Mierzono tam w najnowszym czasie rozmaite egzemplarze

Eukaliptu, i znaleziono jeden wysokości 480 stóp. Inny ma cztery stóp nad ziemią 81 stóp grubości, a wysokość jego wynosi 503 stóp. Najwyższa wieża kościelna w Strasburgu, którą zniszczył teraz pruski wandalizm, ma tylko 466 stóp, a najwyższa piramida Cheopsa 480 stóp wysokości; obadwa pomniki architektoniczne są zatem mniejsze, niż takie drzewo. Największą zaletą tego drzewa jest, że przy szybkim swoim wzroście i mocnem drzewie jest ono nader skromne i przyjmuje się na najlichszym nawet i najsuchszym gruncie. Próbowano też zaaklimatyzować je w Ameryce, gdzieby szczególnie na pustych stepach mogło się stać bardzo pożytecznem.

(Wyrok podług koranu.) Przed pewnym baszą stawiono Turka, który podpalił dom chrześciański. Basza kazał przywołać poszkodowanego chrześcianina, gdyż podług koranu może być tylko wtedy wydany wyrok, jeżli zostanie wniesione zaskarzenie. Ale oskarzyciel nie mógł się stawić, gdyż spalił się wraz z innymi mieszkańcami domu.—„Wszyscy są już na łonie wieczności“ — rzekł sługa sądowy. — „Zatem bez oskarzenia nie mogę wydać wyroku — mówił basza — i niech zapytają koranu, co czynić w takim wypadku.“ — Zrobiono, jak rozkazał, i znaleziono w koranie taki ustęp: „Jeżeli poszkodowany nie może stanąć przed sędzią, ale przecież znajduje się w pewnem znanem miejscu, to trzeba oskarzonego tam posłać, ażeby tamtejszy sąd wydał na niego wyrok.“ — „Bardzo dobrze! — rzekł basza. — Ponieważ chrześcianie są na łonie wieczności, nie pozostaje nam nic, jak tylko oskarzonego tam posłać, i to za pomocą miecza, ażeby tamtejszy sędzia rozstrzygnął jego sprawę“. I niezwłocznie ucięto głowę winowajcy.

(Jeszcze z życia Rotszylda) Sławny powieściopisarz francuzki, Balzac, ofiarował był Rotszyldowi jednę z swoich powieści, ale żądał za to poźniej nie jednej przysługi. Pewnego dnia pożyczył 3000 franków na podróż do Niemiec. Baron Rotszyld, posyłając mu tę sumę, załączył do niej list polecający do swego synowca w Wiedniu. List nie był zapieczętowany, jak to jest w zwyczaju. Balzac przeczytał go i znalazł niedelikatnym, a tem samem niegodnym takiego męża, jak on. Nie chciał przeto oddać go podług adresu i powrócił do Paryża z listem w kieszeni. Po powrocie odwiédził Rotszylda.

— „I cóż—spytał baron — widziałeś pan mego synowca? Spodziewam się, że byłeś pan zadowolony z niego.“

Balzac wyznał z dumą, że nie oddał listu.

— „To wielka szkoda dla pana — rzekł baron; — czy masz pan jeszcze ten list?“

— „Mam. Oto jest!“

— „Czy widzisz pan ten mały hieroglif przy końcu podpisu? On otwierał panu w banku wiedeńskim kredyt na 25,000 franków.“

Balzac ugryzł się w palec, i można sobie wyobrazić, z jakiem uczuciem powracał do domu.

(O Rossinim) opowiadają następującą anegdotę: Raz w towarzystwie pytał go książę Poniatowski, co myśli o roku 1793? — „Że należało tych, którzy spiewali Marsyliankę, cokolwiek wygilotynować“. — „Czy dlatego, że pozamykali kościoły?“ — „Nie!“ — „Że ułożyli listy proskrypcyjne?“ — „Nie!“ — „Że uwielbiali Robespiera?“ — „Także nie“. — „Dlaczegoż więc?“ — „Ponieważ fałszywie spiewali“.

HUMORESKA.



— Dzień dobry, moja wiewióreczko! Jak ty dziś znowu ślicznie wyglądasz! Pomimo, że już dwadzieścia pięć lat mija od naszego wesela, nie zmieniłaś się wcale.

— Tak, tak, mój stary; ja się jakoś trzymam, ale ty niestety bardzo się postarzałeś.

— Oj w istocie; szczególnie z mojemi oczyma coraz gorzej; zdaje się, że będę musiał sprawić sobie okulary.



— Otóż mam okulary i widzę tak dobrze jak przed dwudziestu pięciu laty! A, to świekra; myślałem, że to moja wiewióreczka.

— Ależ kochany mężu, co ci się przewidziało? wszak to ja, nie mama.

— Do stu katów! toż tak świekra wyglądała, nim założyłem okulary.

Wydawca i odpow. za redakcyę F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.